

1137

Państw. Teatr

SYG

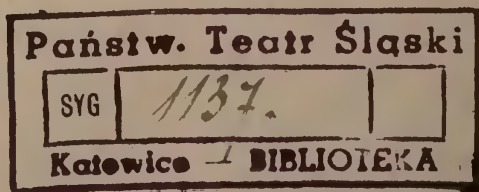
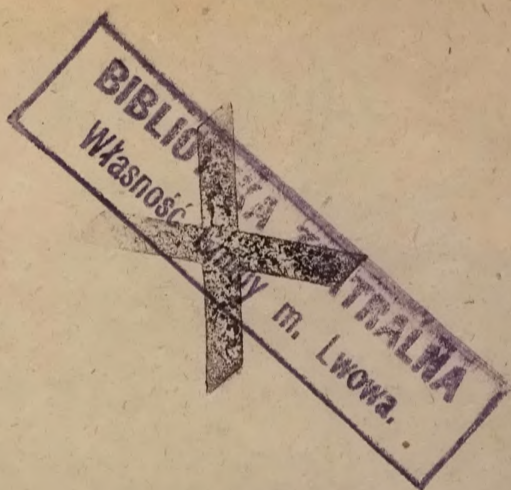
Rece...

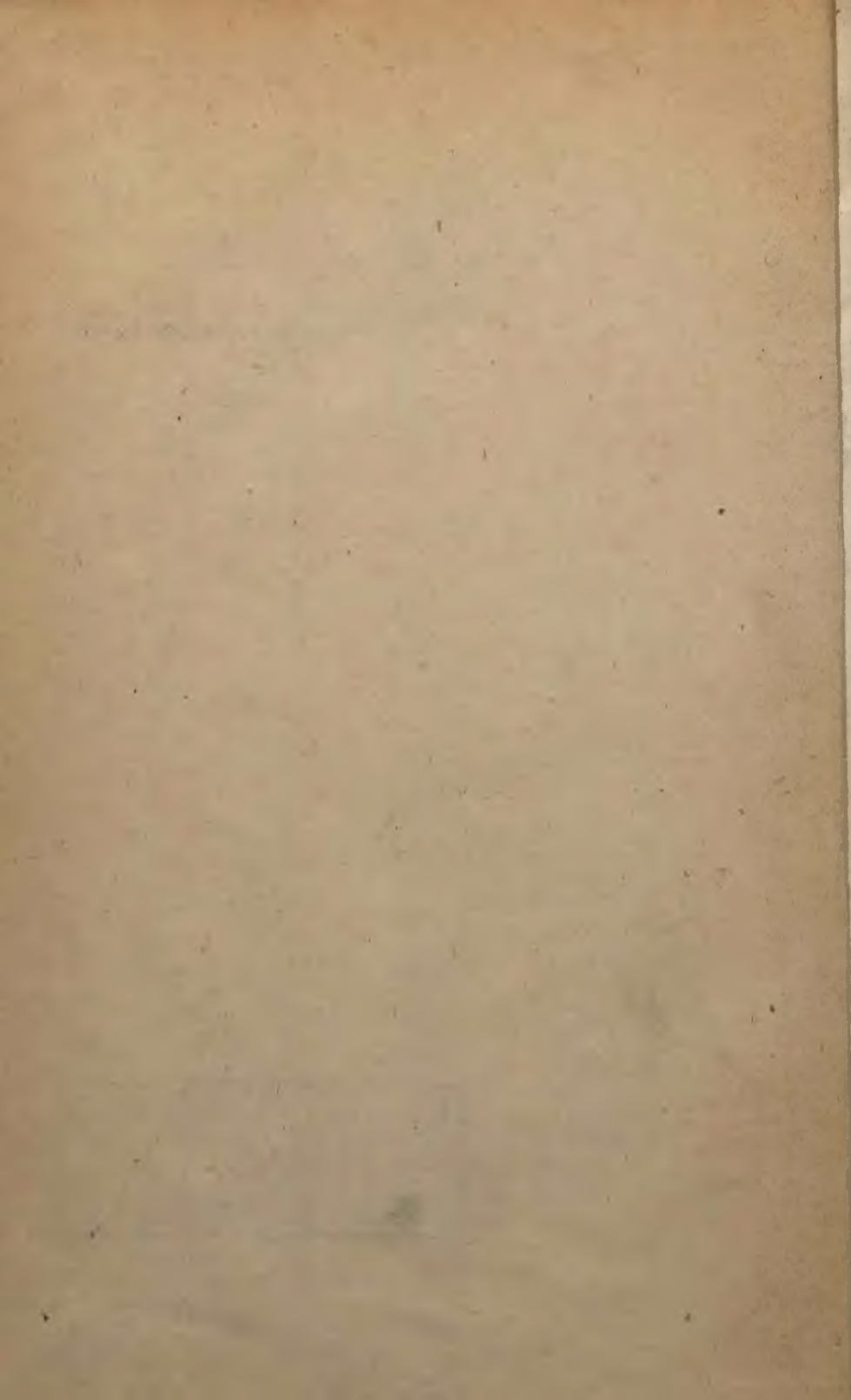
391.

Wwa powies

YA TEATR SKARBKA
WELWOTE







20158 / 1083
ZIMOWA POWIEŚĆ.

(WINTER'S TALE.)

N^o 1137 391.
Dramat Szekspira

przełożył G. E.

Gustav Ehrenberg.

W przedmowie objaśniony stosunek treści tego dramatu do
wydarzeń zaszłych w Polsce w XIV wieku.

DYREKTOR TEATRU HR. SKARBKA
WE LWOWIE

(Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“.)

KRAKÓW,

W DRUKARNI UNIwersytetu Jagiellońskiego
pod zarządem K. Mańkowskiego.

1871.

LP II 12 c2

L

ZIMOWA POWIAT

WINTER TALE

Dist. at 228 1/2

541052

W przedmowie objaśniony stosunek czasu tego brzmienia do
wydanych zaszłych w Polsce w 1717 roku



R 857

D-78/4460

KRAKÓW

W Drukarni Uniwersyteckiej w Krakowie
pod zarządem K. M. M. M.

1871

PRZEDMOWA*).

Okolo r. 1570 wyszła pierwszy raz z druku powieść, napisana przez mistrza Roberta Greene, pod tytułem: Pandosto czyli tryumf czasu, po raz 11sty w r. 1609 przedrukowana, a Johnson'owi znana także pod tytułem *The pleasant history of Dorastus and Faunia*. Treść jęj taka: Pandosto, król Bohemii, ożeniony z Bellarią, córką władzcy Rusi (*emperor of Russia*), przyjął w odwiedziny towarzysza młodości, Egistę, króla Sycylii. Z zachęty i namowy męża, Bellaria najserdeczniejszą okazywała gościowi uprzejmość, i z naleganiem opóźniała zamierzony jego wyjazd. Z tego wywiązał się stosunek poufaly, który wzniecił w umyśle Pandosta podejrzenie, iż jest zdra-dzonym. Zażądał więc od Franiona, podczaszego, a nawet mu śmiercią w razie odmowy zagroził, żeby trucizną zaprawił napój podawany Egistowi, Franion jednak, wyjawwszy Egistowi zamiary Pandosta, uszedł z nim razem do Sycylii. Utwierdzony tą ucieczką w swoich podejrzeniach, Pandosto wtrącił żonę do więzienia, gdzie ta wydała na świat córkę, przez ojca nie uznana, i z jego rozkazu porzuconą w łodzi na otwartém morzu. Potem na żądanie szlachty, zwołał na królową sąd, na którym

*) W przedmowie objaśniony stosunek treści tego dramatu do wydarzeń zaszłych w Polsce w XIV wieku.)

sam zasiadał. Bellaria odwołuje się do wyroczni delfickiej, której odpowiedź, na posiedzeniu sądowem odczytana, głosi, że Bellaria jest nieskażoną, Egist bez zarzutu, Franion wiernym sługą, a Pandosto niesprawiedliwym prześladowcą. Przekonany słowami wyroczni, Pandosto przeprosił publicznie królowę; wkrótce jednak, wiadomość o nagłej śmierci syna ich Garintera tak silnie dotknęła królowę, iż ta niebawem także życie zakończyła. Tymczasem, córka Pandosta, wyrzucona przez burzę na brzegi sycylijskie, została znalezioną, i pod imieniem Faunii wychowaną przez pasterza Porrusa. Spotyka ją przypadkiem Dorastus, królewicz sycylijski, a następnie, rozmiłowany w niej, zamierza z nią się żenić, bez względu na to, że ojciec przeznaczą mu królewnę duńską za żonę. Uciekają z pomocą niejakiego Kapniona, mentora książęcego, i zabierają z sobą Porrusa. Przez burzę zagnani do jakiegoś portu, należącego do króla Bohemii, zostają przytrzymani jako podejrzeni, i przyprowadzeni przed króla. Dorastus przybiera imię Meleagra, udaje że jest szlachcicem z Transpolonii, a narzeczona jego włoską z Padwy. Pandosto, ujęty wdziękami Faunii, postanawia ich rozłączyć, a Faunię sobie zjednać. Mniemany Meleagrus wtrącony do więzienia, a Faunia odrzuca zaloty starego Pandosta. Tymczasem nadchodzi poselstwo z Sycylii. Wykrywa się, że Melearus jest Dorastem, królewiczem sycylijskim, a Faunia niby córką pasterza, która zalotnością swoją uwiodła księcia. Żąda więc król sycylijski żeby Dorastus był wysłany napowrót do Sycylii, a Faunia ukarana śmiercią, wraz z współnikami swojemi, Porrusem i Kapnionem. Już wyrok ma się wykonać, kiedy Porrus wyznaje, że Faunia nie jest jego córką i opisuje wszystkie okoliczności towarzyszące jej znalezieniu. Te okoliczności prowadzą do odkrycia, że Faunia jest córką Pandosta. Wszystko się zmienia. Dorastus poślubia Faunię. Radość powszechna, której nie podziela sam tylko Pandosto, i po weselu córki życie sobie odbiera.

Dziwaczna ta powieść, pełna nazwyczajnych przygód, przypomina poniekąd hiszpańskie i włoskie owego czasu nowelle, wielką wtedy wziętość mające [gdzie królewicze i książniczki nieraz przedzierzgają się w mniemanych pasterzy, a miłość i zazdrość głównemi są sprężynami akcyi. Samo to jednak rodzajowe podobieństwo, nawet przy przemagającym tu tragi-

cznym elemencie, nie byłoby może wyróżniło téj zbyt skomplikowanej, zbyt jakby się zdawało nieprawdopodobnej powiastki od mnóstwa innych, nieraz w daleko składniejszą formę ujętych, gdyby nie przydawała jéj większej wagi i zajęcia ta okoliczność, że odbijał się w niéj odgłos dziwacznych wprawdzie ale wiarogodnych przygód, opowiadanych w długie zimowe wieczory przez tych, co szukali sławy wojennéj na ukrainach chrześcijańskiej Europy. Bo, gdy już wypraw do Ziemi Świętej zaniechano, wielu znakomitych rycerzy angielskich w XIVtym a nawet w XVtym jeszcze wieku, udawało się na dwór krzyżacki, będący wtedy najświetniejszą szkołą gasnącego rycerstwa, słuchając głosu wzywającego do udziału w wyprawach uporowawczych zadaniem nawrócenia niewiernych. Tam, wśród innych znakomitego rodu ochotników lub sprzymierzeńców, spotykali i królów Bohemii, z którymi na innych polach przedtem kopie kruszyli, dochodziły ich téż liczne wiadomości o książętach bliższej i dalszej Polonii, Danii, Russyi i Sylezyi *).

Suma już w powieści Green'a wzmianka o Bohemii, Transpolonii, Danii i Rusi, dopuszcza możność doszukiwania się źródła tych podań w ognisku, gdzie wiadomości o pomienionych krajach zbiegać się mogły; uderzające zaś podobieństwo głównej treści powiastki z wypadkami zaszłemi ku końcowi XIVgo wieku w rodzinie książąt mazowieckich, naprowadza na domysł, że powieść Green'a osnutą być mogła na tle ustnych lub nawet spisanych, lecz zatraconych, opowiadań, przyniesionych z krajów nadbałtyckich, a odnoszących się do naszych dziejów. Kto miał sposobność przekonania się w jaki sposób przetwarzały się relacje z oddalonych krajów, luźnemu opowiadaniu, dowolnie wymysłami fantazy przystrojonemu, powierzone, tego nie tyle uderzy topograficzny nieład; trawestacya imion, wreszcie przeistoczenie niektórych faktów, utrudniające rozpoznanie na pierwszy rzut oka źródła, z którego pierwsi bajarze opowiadana przy kominku dziwną historję czerpali; ile raczej to go zadziwi, iż po dwustu latach, po przejściu przez tyle wyobraźni

*) Może to Sylezyę nieświadomi przerabiacze opowiadań na Sycylię morzem oblaną zamienili. Jest téż w kronice Galla granicząca z Polską Salencya albo Selenicya nad morzem leżącego. Zob. wyd. Bandtkiego *Prooemium* str. 15.

i tyle ust, w redakcyi Green'a, który sam téż nie miał żadnego obowiązku trzymania się ściśle tego co słyszał, tak wiele jeszcze zostało charakterystycznych rysów, tak wiele rodowego podobieństwa z wydarzonemi ku schyłkowi XIVgo wieku wypadkami, których główną widownią było sąsiednie krzyżakom Mazowsze. Że tu jednak stoi Bohemia zamiast Mazowsza (do którego Jan Luxemburski rościł prawo zwierzchnicze), że nie z Rusi, ale ze Szląska, pochodziła posądzona niewinnie księżna (Elżbieta żona Ziemowita), że nie do mazowieckiej księżnej, lecz raczej do polskiej królowy (Jadwigi) odnosić się mogła wieść o sędzie uroczystym, który oskarżyciela królowej potwarca miał ogłosić, że nie gość książęcy (Witold) był podejrzany o występne z księżną stosunki, że nie córka ale syn (Henryk) przez ojca nieuznany, porzuconym był a następnie odzyskanym, że nie z synem książęcego gościa (Witolda) lecz z siostrą jego (Ryngałą) odzyskane dziecko wstąpiło w związek małżeński, z obowiązkami stanu jego niezgodny, (Henryk, bowiem przeznaczony był do stanu duchownego); są to różnice, które się łatwo tłomaczą niedokładną wiadomością pierwszych i dowolnością następnych opowiadaczy; równie jak nadmorskie położenie Bohemii, mające jój ułatwić stosunki z Sycylią, da się objaśnić mniejszą, w jeografii, jak w wojennych zabawach, biegłością rycerzy, którzy, gdy z kraju morzem otoczonego do ziem krzyżackich nie inaczej jak morzem dostać się mogli, i Bohemii też posia dania morskich wybrzeży nie mieli powodu odmawiać, choćby nawet nie zasłyszeli o szerokiem niegdyś króla Ottokara władaniu, którego dzierżawy do morza adryatyckiego zbliżyły się. Za to, charakterystyka osób, treść wypadków i połączenie w jedną powieść przygód dwudziestoletnią przerwą oddzielonych, obok topograficznych wskazówek, o których się wyżej wspomniało, podaje materyał do analogicznego zestawienia powieści Green'a z historyczną treścią z naszych dziejów czerpaną; analogii zaś téj nie osłabia, lecz ją raczej popiera, powoływanie się w ciągu powieści na pogańskie bóstwa i wyrocznie. Jak bowiem Krzyżacy, Litwinów stanowczo za pogan mieli, i o nawróceniu samego Jagiełły wątpliwie się wyrażali, tak téż i słowiańskiej mowy sąsiadom niechętnie zaszczyt chrześcijaństwa przyznawali, gotowi raczej wszystkich mieć za pogan, prócz siebie i swoich.

Jeżeli teraz od powieści Green'a przyjdziemy do dramatu, który Szekspir z niej utworzył; w nowych przeobrażeniach danej treści, obok przydanych szczegółów od prawdy dziejowej odbiegających, znajdziemy inne, które dopatrzoną analogię bardziej jeszcze wzmacniają. Chociaż, bowiem z jednej strony, Szekspir to, co według powieści Green'a, dzieć się miało w Bohemii, przeniósł do Sycylii, i na odwrót, wypadki sycylijskie do Bohemii przerzucił; chociaż nadto, mniej odbiegający od historycznego wątku, zgon niewinnie posądzonej księżnej zastąpił śmiałym wymysłem, według którego księżna, pozornie tylko zmarła, staraniem wiernej przyjaciółki od śmierci ocalona i w ukrytym miejscu przechowana, po kilkunastu latach wraca do świata; za to, z drugiej strony, odrzucając nie potrzebną i wstrętną komplikację zalotów starego Pandosta do mniemanej pasterki, uprościł akcyę, i zawarł ją w sferze tych psychologicznych analogii, jakie między treścią legendy a treścią historyczną daje się upatrzeć, a co najgodniejsze uwagi wprowadził, i z wielkiem wykończeniem uwydatnił nieznaną w powieści Greena postać owę przyjaciółki najwierniejszój, co tak wiele na pomyślniejsze rozwiązanie dramatu wpłynęła; tak jak gdyby zasłyszal o owych służebnych, co pod mękami przeciwno pani swojej świadczyć nie chciały, lub o owej szlachciance z pod Rawy, u której przez lat kilka przechowywało się odtrącone dziecko Ziemowita. Imiona osób nie te co w powieści Green'a: Polixem jest królem Bohemii, Leontes Sycylii Hermiona jego żoną, Perdita zgubioną córką, Paulina wierną przyjaciółką, Florycel synem Polixena i t. d. *).

*) gdybyśmy chcieli do ostatka wyczerpnąć wszystkie możliwe kombinacye wysnuwające się z tego założenia, iż tak w treści jak w niektórych szczegółach dramatu, odbijają się podania i reminiscencye do dziejów polskich odnoszące się moglibyśmy przypuścić, iż na skroślenie charakteru Florycela wpłynąć mogły zasłyszane może przez Szekspira, w młodych jego latach, wieści o tym współczesnym księciu Transpolonii (Litwy), a później mądrym i sławnym królu polskim, który gotów był raczej wyrzec się prawa do korony, jak złamać wiarę zaprzysiężoną małżonce nierównego stanu. W scenie XI, tam gdzie Florycel zagrożony jest wydziedziczeniem, jeżeli nie porzuci Perdity, znajdują się miej-

Jakkolwiek bądź, pomimo wytkniętej wyżej dosyć uderzającej analogii między treścią sztuki Szekspira a wypadkami ku schyłkowi XIVgo wieku w Polsce zaszłemi, wyznać należy iż podobieństwo nie jest jeszcze tak dalece wybitném, iżby usuwało wszelką zgoła wątpliwość, co do trafności domysłu względem dróg, jakimi wypadki przejść mogły w opowiadania, a te w legendę i dramat. W każdym razie, cała zasługa téj śmiałej i przenikliwej hipotezy, wraz z odpowiedzialnością za jój wiarogodność, należy się panu Jakubowi Caro, autorowi wydanéj w ostatnich czasach po niemiecku historii polskiej, będącej dalszym ciągiem znakomitej pracy, którą Roepell rozpoczął, a teraz p. Caro do jagiellońskich czasów doprowadził. W dziele tém, nie tyle może zalecającem się bezstronnością, ile świetnym wykładem, p. Caro zwraca szczególną uwagę na ruchliwy charakter dziejów polskich w wieku XIVtym, gdzie tyle się przeplata energicznych i namiętnych poruszeń, tyle przygód nadzwyczajnych na dworach królewskich i książęcych że odgłos tych zadziwiających wypadków mógł się po całej Europie rozchodzić, i służyć za materyał do osobnego cyklu legend, których filiacja przy baczmem śledzeniu da się niekiedy odszukać. Poniżej zamieszczamy w przekładzie wyjątki z dzieła p. Caro do tego przedmiotu odnoszące się, i stanowiące zarys hipotezy, którą staraliśmy się zastosować do powieści Green'a jako do głównego źródła, z którego Szekspir zaczerpnął treść swego dramatu. Teraz powiemy jeszcze kilka słów o artystycznym znaczeniu tego utworu.

Uderza przedewszystkiem sam tytuł: *Winter's Tale* Nie *Mährchen*, jak w przekładach niemieckich, nie *Baśń* ale *Tale*:

sea, w których koloryt sytuacji i samo nawet wyrażenia napomykać się zdają na upoetyzowane relacye o wiadomem znalezieniu się Zygmunta Augusta w sprawie o zaślubienie Barbary. Naprzykład (scena XI):

Kamillo. To rozpacz, panie.

„Florycel. Tak sobie nazwij, ale tym sposobem „spełniam ślub, i muszę to uważać za uczciwe. Kamillo! „ani za Bohemię i wszelką chwałę, jakąbym mógł w niej „zebrać. ani za wszystko co słońce widzi, lub co głębokie „morza kryją w nieznanych przepaściach nie chcę złamać „wiary zaprzysiężonej téj pięknej, ukochanej mojej“ i t. d.

opowiadanie, powieść. Jakież to tytuł dla dramatu? Mniemałby kto, wzięwszy książkę do ręki, znaleźć narrację, znajduje ruch dramatyczny, gorące życie, charaktery, które się same czynami swemi wypowiadają, grę namiętności, wypadki z żywym złudzeniem przedstawione, jednym słowem, niewątpliwy dramat. Ale ten dramat dziwnie się snuje. Brak mu na pierwsze wejście, głównego warunku wszelkiej dramatycznej kompozycji, jedności akcji, jedności interesu. Cały interes skupia się pierwotnie na Hermionie. Jest tu akcja tragiczna silnie zawiązana w środku sztuki rozwiązanie swoje mająca. Hermiony śmierć, która dla widza, zarówno jak dla Leontesa, wydaje się rzeczywistością, zakończy trajedję. Niechże się widzowie nie rozchodzą; po trajedji nastąpi jeszcze dramat pasterski, w którym już nie Hermiona, tylko córka jej Perdita będzie główną osobą. Nie tylko szesnastu lat przedział, ale i charakter tej drugiej części, czyli raczej drugiej sztuki, cały jej nastrój i poetyczny zamiar, stawiają ją na tak odmiennem od poprzedniej stanowisku, że, pomimo związania treści tych dwóch utworów ciągłością losu kilku głównych osób, zwłaszcza Hermiony (niespodziewanie wskrzeszonej), wrażenia widza są jakby rozproszone na dwa kierunki, które o tyle tylko zejdą się w pojęciu więcej zagadkowej jak widocznej logiki życia „o ile mistrzowi powiedzie się z taką prawdą wystawić pobudki działań szczegółowych osób, iżby widz zniewolony był zainteresować się nie samą tylko idealną stroną, ale i zjawiskowym ruchem wypadków. Te, w dziwnej swój płataninie, uchylającej się nieraz od dochodzeń rozumu (jak mówi nasz Kochanowski), przedstawiają nam zmieszany obraz złej i lepszej doli, nie zawsze odpowiedni moralnej lub praktycznej wartości czynów; tak, że, jeżeli od wrażeń tragicznej zgrozy przechodzimy potem do innych, których ostatecznym wyrazem jest uspokojenie i przejednanie, nie zdaje się to być wynikiem niezbędnej konieczności, ale raczej dobrej woli, osobistego usposobienia, jakby łaski poety. Nic łatwiejszego, jak w podobnym planie, nie odpowiadającym zwyczajnym warunkom dramatycznej kompozycji, zaznaczyć błąd estetyczny; ale mając do czynienia z Szykspirem, bezpieczniej tu będzie podziwiać raczej szczęśliwą śmiałość wytrawnego mistrza, który do tego stopnia sztukę opanował, że, pewny siebie, nie waha się złączyć w jedną całość dwa epi-

zody różnej natury, z nieostygłej jeszcze tradycyi wykrojone. Nie zraża się brakiem jedności tematu, ani nadzwyczajnością przygód, w których przypadkowość tak wielki zdaje się mieć udział; cokolwiek da, tryśnie z tego życia na wskrós zrozumiane; wrażeniami rozporządza, wzburzy je i uciszy jak zechce. Podobało mu się na ten raz, jemu, co tyle razy wstrząsał duszę słuchaczy obrazami tragicznego losu, użyć elementu komicznego nie tyle w sposobie antytezy życia, potęgującej wrażenie zgrozy, ale raczej jako środek rozpogodzenia widnokregu, na który tyle już chmur czarnych nasunął, słonecznym blaskiem nadziei. Nic jeszcze w pierwszej części nie zapowiada, „że wróci spokojność, wróci“, a jednak wraca, jakby dla tego, żeby i słabsze umysły do wytrwałości w walce życia zachęcić. Oczywiście nie każdemu by się to udało. Słabsza ręka nie zdołałaby bezkarnie tak igrać wrażeniami widzów; on jednak wie co robi, nie wątpi że mu się powiedzie, i dla tego, w prologu do drugiej części, śmiało zachęca widzów do cierpliwego wysłuchania dalszego ciągu rozerwanego dramatu, zapewniając ich, że nie będą narzekali na złe użycie czasu. Że jednak umyślnie rozminął się tu z tak dobrze znanymi sobie prawidłami sztuki, ślad tego i w tytule zostawił, w którym daje poznać, że, pod osłoną formy dramatycznej, zachowany tu został w układzie charakter powieści. Nic wam tu więc nie dam, zdaje się mówić, tylko znaną z zimowych wieczorów rycerską powiastką, z tą chyba różnicą, że, zamiast tego, żeby słuchać opowiadania, patrzyć będziecie na sprawy ludzi, jakby żywych. Nie raczy zmienić nawet porządku opowiadania; rzuca scenę po scenie, jakby rozdział, po rozdziale. Nie warto się trudzić (zdaje się mówić jeszcze) nad sztucznym układem dramatu; wezmę jakiegokolwiek fragmenta życia namiętnościami zaburzonego, i znajdę w nich gotowy dramat. Jakoż rzeczywiście znajduje, a sztuka, której zdaje się unikać, posługuje mu jak wierna niewolnica, i najwyborniejsze środki swoje oddaje mu do rozporządzenia. Chcecie trajedyę? Macie ją w pierwszej części. Cała skończona i zaprawdę niezła. Obraz postępów namiętnej zazdrości w Leontesie stanowi wykończone najstaranniej (jak dziś mówimy) studium psychologiczne; Hermiona, co płakać nie zwykła, postać posągowa i nie dająca się zapomnieć; Paulina niezrównany i niezwykły typ namiętnej przyjaźni kobiecej, je-

den z najszcześliwiej przez Szekspira pomysłanych charakterów. Ale chodźcie teraz na inne widowisko. Prosta rzecz, że inne tu czynniki muszą być poruszone, żeby zrównoważyć poprzednie wrażenia, nie niszcząc ich, i na ostatku zlać je w inne, którymi podobają się mistrzowi widza uraczyć. Wejdziecie w prostą sferę uczuć i pojęć, zobaczycie idyllę nie perfumowaną, ale szorstką; potrzebny tu będzie i rzezimieszek jarmarczny (ów Autolik, którym się anglicy nie mogą dosyć nacieszyć), łośtryk, co czuje wdzięki natury a stryczka się boi. W tem otoczeniu zajaśnieje Perdita, jak czysta perła, śliczna, nieco dumna dziewczyna, która właściwie jest ilustracją i dopełnieniem Hermiony, bo ją przypomina taką, jaką musiała być w pierwszej młodości. A na zakończenie, scenę dziwną i prawie niepodobną do prawdy, znajdziecie tak przedstawioną, że wyda się możliwą a nawet rozumną; w niej bowiem wyrazi się ów pogodny nastrój ducha, co góruje nad zmiennymi wypadkami losu, a w wytrwałej cierpliwości szuka i znajduje pobudki do oparcia się pokusom rozpacy.

Takie jest tło kompozycyi, którą wytrawny mistrz w zupełnej dojrzałości talentu i doświadczenia podał światu, jakby na próbę niewyczerpanej zasobności swego geniuszu. Dramat ten, przedstawiony w r. 1611 jest jednym z ostatnich utworów Szekspira, a chociaż, pod względem doniosłości tematu, nie da się może porównać z najgłośniejszemi jego arcydziełami jednak wielce do nich się zbliża, i na szczególną zasługuje uwagę, tak ze względu na śmiałość dramatycznego pomysłu, jako też ze względu na szczęśliwe wywiązanie się z trudnego zadania, jakie poeta sam sobie założył. Nadto, tę ma zaletę, iż widoczniej, jak w wielu innych dramatach, odsłania się w nim etyczna strona szekspirowskiej filozofii życia. Ta ostatnia uwaga o tyle może nabrać znaczenia, o ile zgodzimy się na to, iżby oddzielnie w każdej sztuce dobadywać się całego Szekspira, takiego, jakim był w epoce tworzenia dramatu, nie stawiając wniosków naszych w zbyt ścisłej zależności od teoryi, jakabyśmy z rozbioru innych sztuk wysnuć mogli. Napotykać się mogące sprzeczności niech nas nie zrażają; bo ten, co tak rozumiał kontrasty życia, i sam też pewnie od nich nie był wolny. Otóż, niektórzy krytycy, kto wie czy nie grzeszą, zbytkiem konsekwentności, gdy do ocenienia niektórych drama-

tów Szekspira stosują takie tylko poglądy, jakie ze zbiorowego rozpatrzenia się w jego utworach zaczerpnęli. Sam nawet Gerwinus, tak pilny krytyk, tak przenikliwy, tak rozmiłowany w swoim przedmiocie, głębiej może byłby wniknął w znaczenie i wartość „Zimowej powieści“, jako dramatu, gdyby wybór estetyczny mniej zależnym chciał być uczynić od teoretycznego zapatrywania się na twórczą działalność Szekspira. Mniejsza o to, czy charaktery, czy poglądy na życie, czy motywa etyczne w większym lub mniejszym stopniu przypadają do miary powziętych o dramatyce Szekspira pojęć; dosyć tego że dramat sam w sobie jest oryginalny, śmiały, zajmujący w wysokim stopniu i tętnący prawdą życia. A co do śmiałości planu i wykonania, przyda się tu może na zakończenie ta uwaga, że w dramatycznej poezyi większe zapewnia powodzenie dojrzałość talentu, doświadczenie i znajomość życia, życiem zdobyta, jak samo natchnienie i żywość wyobraźni. Trzeba było całkiem nad sztuką zapanować, trzeba było nieomylnie pewnym być siebie, żeby się odważyć na tak niespodziewane, jak w Zimowej powieści, rozszerzenie a raczej przekroczenie szranków właściwych dramatycznej kompozycji; wytrawny tylko mistrz mógł szczęśliwie wywiązać się ze zadania, któremu by początkujący poeta, przy największych zdolnościach, z pewnością sprostać nie zdołał.

Za pobudkę do przełożenia Zimowej powieści na język polski posłużył głównie domniemany związek treści téj sztuki z wydarzeniem do historii naszej odnoszącem się. Obok tego jednak powodu i ten da się przytoczyć, że rozbudzona w tych czasach ciekawość publiczności naszej do utworów Szekspira zachęcić może do poznania nie tylko tych dramatów, które najczęściej na scenach europejskich przedstawiane bywają, ale i tych, które, acz mniej znane, posługują do wielostronnego rozpatrzenia się w bogactwie środków i zasobów znakomitego wieszczka. Trudno wróżyć, czy Zimowa Powieść ukaże się kiedy na naszej scenie; ale, gdyby to kiedy mogło nastąpić, pewnie dla naszych talentów scenicznych piękne by się w téj sztuce odkryło pole popisu. Role Hermiony, Pauliny, Perdity, równie jak Leontesa, Autolika, Florycela i innych, warte są rozumnej interpretacji, i sowiec wynagrodzić mogą trud łożony na dokładne przejście się niemi.

Nie wiele pozostaje do powiedzenia o samym przekładzie. Tekstu dostarczyły dwa wydania: jedno Bell'a (w Londynie 1786) z przypiskami Johnson'a i Steevens'a, drugie nowsze (1844) z przypiskami Hazlitt'a; radzono się także przekładów Ortleppa i Franciszka Hugo. Nie zdawało się niezbędnie potrzebnem przeplatać, jak w tekście, prozę wierszem nierymowym. Prostota składni angielskiej zmuszała niemal Szekspira do użycia miary tonicznej, tam gdzie wypadało mu podnieść dykcję do nastroju mowy obrazowej lub patetycznej. Nasza proza swobodna i bardzo wyrobiona, zdolna do wielkiej rozmaitości tonów, wystarczyć by powinna, przynajmniej w dramatach mieszanego charakteru, do oddania różnych stylów, bez pomocy owych luźnych wierszy, które, nie nagradzając dostateczną rytmiką utrudnionego szyku wyrazów, nie zawsze dobrę deklamacyi sprzyjają.

Z natury rzeczy wypadało podzielić ten dramat na dwie części, z których pierwsza mieści w sobie ośm scen, czyli zmian, a druga sześć. Podział na pięć aktów uskuteczniiony został, jak się zdaje, przez późniejszych wydawców. Pierwsze znane wydanie téj sztuki ma być z r. 1623, kiedy Szekspir już nie żył.

Wyjątki z dzieła pana Caro.

I. 1370:

Pierwszą żoną Ziemowita III. księcia mazowieckiego, była Eufemia, córka Mikołaja księcia Opawskiego; miał z nią dwóch synów: Ziemowita i Janusza. Po jég śmierci, pojął córkę księcia na Ziębniicy (Münsterberg) znakomitęj piękności, która poprzednio była damą dworu na cesarskim dworze niemieckim. Ziemowit kochał ją namiętnie. Krążyły jednak pogłoski potwarcze o niewierności téj pani, przez długi czas do uszów Ziemowita nie dochodzące. Nakoniec, doniosła o tem Ziemowitowi własna siostra księżnój, księżna Cieszyńska i syn jég Przemysław, a Ziemowit, dla dobadania się prawdy, kazał żonę zamknąć na zamku w Rawie. Służba księżnój wyszukanemi mękami do zeznań była przynaglana, żadnego jednak dowodu winy nie wykryto. Księżna urodziła w więzieniu syna, którego

biedna jakaś kobieta w bliskości Rawy przez trzy lata wychowywała, dopóki go wreszcie bratowa dziecka, księżna Dobrzyńska, Małgorzata, w nocy do siebie nie zabrała. Tymczasem, wzmogła się zazdrość Ziemowita. Obwinionego o uwiedzenie księżnej, końmi kazał rozszarpać. Wreszcie, uwiedziony radą złych ludzi, niewinną małżonkę na śmierć skazał. Żal i zgryzota szarpały jego duszę. W kilka lat potem księżna Małgorzata przedstawiła mu urodzonego w więzieniu syna, którego uderzony podobieństwem rysów, Ziemowit przyznał, i przeznaczywszy go do stanu duchownego, wyjednał mu probostwo płockie. Opowiadanie to, wyjęte z kroniki Archidyakona Gnieźnieńskiego, posłużyło Szekspirowi za osnowę dramatu *Winter's Tale*. Trudno mniemać, żeby Szekspirowi znana była nie-drukowana jeszcze Archidyakona kronika; wiemy też, że Szekspir trzymał się na tem samem snadź zdarzeniu osnutęj powieści Green'a: *Dorastus i Faunia*; trzeba jednak przypuścić, że obok powieści Green'a, musiał mieć pod ręką inną jeszcze tego zdarzenia relacyę. Naprowadza na tę myśl ważną, w dramacie rolę odgrywająca postać Pauliny, której w powieści Green'a nie ma. Dziwiono się, że u Szekspira Czechy są nad morzem: u Green'a jest tak samo. Nawet u Archidyakona Gnieźnieńskiego (Sommersberg. II. str. 152) znajdujemy Morawię nad morzem śródziemnem: Anno quoque eodem Rome in tota fere Italia ac circa mare mediterraneum in terris que Moravie nuncupantur... magna pestilentia seviebat.

Geschichte Polens von Dr. Jacob Caro. Zweiter Theil. Gotha 1863 str. 413. Anmerkung 2.

II. 1392.

Około tego czasu udał się Henryk, biskup Płocki, brat przyrodni książąt Mazowieckich, do komturów Balgi i Chrystburgu, przekładając im, że ma do przedstawienia propozycyę, do trwałego pokoju z Polską i Litwą doprowadzić mogące, i prosił, będąc dobrze przez komturów przyjęty, żeby mógł się widzieć z Witoldem (znajdującym się wtedy w zamku Ritterswerder) dla bliższego z nim porozumienia się. Biskup ten mający wtedy niespełna 22 lata, urodził się na bohatera romantycznej powieści. Był on synem słynnej z piękności i nie-

szczęśliwego losu księżny Mazowieckiej, która w więzieniu śmierć poniosła, jako ofiara zazdrości męża, obudzonej wnieconemi co do jęj wierności podejrzeniami. W więzieniu urodzony syn, którego dziwne przygody już poprzednio były opisane, przeznaczony następnie do stanu duchownego, w 10ciu latach życia otrzymał dochody probostwa Płockiego, a wkrótce potem Łęczyckiego. Następnie, postarali się bracia jego Ziemowit i Janusz o biskupstwo Płockie dla niego; jakoż w roku 1392 używał już tytułu biskupa, chociaż nie był jeszcze konsekrowany. Światowo usposobiony umysł jego więcęj go skłaniał do dyplomacyi jak do rządu kościelnego; sam nawet dwuznaczny charakter przedsięwziętych rokowań mógł go pociągać. Po to go bowiem król Władysław posłał, żeby nakłonił Witolda do powrotu do ojczyzny i do pogodzenia się z nim, za co mu król obiecywał godność wielkoksiążęcą i posiadanie księstw przypadających mu z działu spadkowego. Młody dyplomata znalazł Witolda dobrze usposobionym do przyjęcia jego propozycyi, już bowiem Witold zmiarkował, że zakon nie miał zamiaru dla niego, jak to się mówi, kasztanów z ognia wyciągać. Przysłał mu projekt, a całe rokowanie w największej zachowano tajemnicy. Kilkotygodniowy pobyt Henryka w Ritterswerder łatwo usprawiedliwiały rodzinne stosunki, które nowym związkiem wzmocnić się miały. Brat przyrodni Henryka Janusz, ożeniony był z siostrą Witolda, Danutą Anną; młodemu zaś dyplomacie bardzo w oko wpadła druga siostra Witolda, Ryngała; wkrótce téż z nią się ożenił, w nadziei na wyjednać się następnie mającą dyspensę. Podwójnem powodzeniem uszczęśliwiony, wyjechał Henryk bez przeszkody do Su-raża. Wystawnosc niezwykłego wesela przykryła, polityczną intrygę; Witold zaś, żeby tem więcęj ubezpieczyć zdradzonych rycerzy, przedsięwziął jeszcze dwie wyprawy, jedną na Międzydniki, drugą na Lidę.

Przypisek 2. W drugiej części, na str. 413 podaną była wiadomość o urodzeniu Henryka, a zarazem wskazano, iż przygody te stanowią treść dramatu Szekspira *Winter's Tale*. Bliższe rozpatrzenie się w szczegółach prowadzi do wniosku, że cała budowa dramatu spoczywa na historycznym gruncie. Wprawdzie w dramacie nie syn rodzi się w więzieniu, ale córka, Perdita. Za to Henryka przypomina jęj kochanek Flo-

rycel, który, nie bez pewnej analogii z Henrykiem, sięgającym po zabronione dla biskupa związki, zapala się nieodpowiednią dla królewskiego syna miłością ku pasterce. Może i w samym dźwięku imienia Florycel da się upatrzeć reminiscencya Płocka (Heinrich von Plotzeke). Jakkolwiekby, prawdopodobieństwo z pewnością graniczące pozwala wskazać drogi, któremi wiadomość o tych wypadkach doszła do Anglii. Właśnie w tych czasach przybywali do Prus, w zamiarze uczestniczenia w walkach z Litwą, znakomici w dziejach Anglii rycerze, mianowicie znajdował się w Prusach r. 1390 i 1392 Henryk Derby, syn Jana Gent, księcia Lancaster, późniejszy Henryk IV, król angielski, (zob. Wigand. przyp. 1881), Wilhelm Douglas z Nyddisdale, który też w Prusach zginął (tamże, przyp. 1899) wreszcie, jeden z rodu Percy, według domysłu Hirsch'a (tamże przy. 1915) nie Henryk Percy, ale „Master Thomas Percy“. Temu ostatniemu mógł być Henryk biskup Płocki (Florycel) osobiście znanym, bo, według wyraźnego świadectwa Wiganda z Marburga, Percy należał do gości Zakonu, których Witold za Szeszuppę wysyłał, a nadto, należał do wyprawy Marszałka Engelharda Rabe na Surąż, gdzie Henryka pojmać zamierzano. Wiadomo jak się Szekspir zagłębiał w szczegółową historię tych czasów. Może też i Szekspir i Greene (twórca powieści Dorastus i Faunia) mieli przed oczami jaką balladę o pruskich wyprawach króla Henryka.

Gesch. Polens von Dr. Jacob Caro. Dritter Theil. S. 107.

III. 1388.

Nie można inaczej mniemać, tylko, że opisana wyżej scena, przedstawiająca magnata odszczekującego pod ławą potwarcze oskarżenie, (u Długosza pod r. 1388 wyrok wydany w Wiślicy na Gniewosza z Dalewic, fałszywego oskarżyciela Jadwigi), jest mitycznem upostaciowaniem formuły prawnej, przechowanej w Statutach Wiślickich. W ogólności, możnaby dowieść, że poufne stosunki Jadwigi, Wilhelma, Jagiełły, Witolda, biskupa Płockiego Henryka, Ryngałły i innych siostr Witolda i t. d. nacechowane niezwykle wydarzeniami, posłużyły za tło do obszernego cyklu zmyśleń poetyckich, w których, bądź wprost bądź pośrednio, odbijają się owe stosunki i po-

stacie w różnych przetworzeniach. I tak np. dowiódłszy, jak sądzę, z pewną oczywistością, że opowiadanie z którego powstała Zimowa Powieść Szekspira, co do treści swojej pochodzi z tego samego okresu rodzinnych tradycji, uważam nadto za rzecz więcej jak prawdopodobną, że scena sądu, który miał się odbyć w Wiślicy, podała myśl do podobnej sceny w trzecim akcie wspomnionego dramatu, pozostawiając przytem do rozstrzygnięcia, czy przypadkiem i w imieniu Hermiony nie zachodzi taka sama reminiscencya imienia Hedwigi, jakąśmy już co do imion Płock i Florycel przypuszczalnie upatrywali. W każdym razie, należy zauważyć, że podania o pożyciu małżeńskim królewskiej pary przechowały się nie w samym tylko dziele Długosza, jakkolwiek nie większy przez to pozyskały stopień wiarygodności. Znajduje się bowiem wzmianka o tém, dwoma pokoleniami przedzielona i zapewne na podstawie ustnego podania, ale nie bez psychologicznego podobieństwa do prawdy spisana, w tak nazwaną dawniejszą kronikę Wielkich Mistrzów (zob. Script. rer. Pruss. III. p. 609. Toeppen, Einl. p. 536)

Gesch. Polens von Dr. Jacob Caro Dritter Theil § 648

CZĘŚĆ PIERWSZA.

OSOBY.

- ✓ LEONTES, król Sycylii (30 lat)
 - ✓ POLIXEN, król Bohemii (30 lat)
 - ✓ MAMILIUS, syn Leonta (8 lat)
 - ✓ KAMILLO (36 lat)
 - ✓ ANTYGON
 - ✓ KLEOMEN
 - ✓ DYON
- } dworzanie króla Sycylii

ARCHIDAM, dworzanin króla Bohemii

DOZORCA więzienia

MARYNARZ

STARY pasterz (60 lat)

GAWĘŻ (Clown) syn jego (20 lat)

HERMIONA, żona Leonta (24 lata)

PAULINA, żona Antygona (28 lat)

EMILIA

DWORZANIE

DAMY dworskie

URZĘDNIICY

SŁUŻBA.

Siedm piewszych scen w Sycylii, ósma na wybrzeżach Bohemii.



BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Gminy m. Lwowa

A K T I.

Scena I.

Przedpokój w pałacu Leonta.

Wchodzą *Kamillo* i *Archidam*.

Archidam.

Gdyby ci się kiedy zdarzyło, *Kamillo*, zwiedzić Bohe-
mię z okazji takiejże służby, jaką jest ta, co mię tu teraz na
nogach trzyma, zobaczyłbyś, jak już mówiłem, wielką różnicę
między naszą Bohemią a waszą Sycylią.

Kamillo.

Mniemam, że król Sycylii ma zamiar przyszłego lata od-
płacić się Bohemii słusznie należnymi odwiedzinami.

Archidam.

A jeżeli co do przyjęcia będziemy musieli się powsty-
dzić, to przynajmniej uczucia nas uniewinnią; bo, doprawdy—

Kamillo.

Proszę cię —

Archidam.

Doprawdy, mówię z całą swobodą przekonania; niepodod-
bna nam z taką wspaniałością — z tak rzadkiem — już nie
wiem jak się wyrazić. Damy wam chyba usypiające napoje,
żeby wasze zmysły, nie mogące ocenić naszych niedostatków,
gdy pochwalić nie zdołają, przynajmniej obwinić nas nie mogły.

Kamillo.

Zbyt wysoką opłacasz ceną to, co jest ofiarowane po prostu.

Archidam.

Wierzaj mi, mówię tak jak mię pojęcie naucza i jak uczciwość mówić mi każe.

Kamillo.

Sycylia nigdy nie może być dostatecznie uprzejmą dla Bohemii. Królowie wychowywali się razem w dzieciennym wieku i między niemi splotło się przywiązanie, które tylko coraz bardziej rozrastać się może. Odkąd dojrzałość majestatu i obowiązki królewskie rozłączyły ich towarzystwo, stosunki już nie osobiste wprowadzie, ale pośrednie, po królewsku były podtrzymywane wymianą podarunków, listów, przyjacielskich poselstw; tak, że, choć oddaleni, zdawali się być razem, Jakby ponad przestrzenią podawali sobie ręce i posyłali uściśnienia z dwóch odmiennych stron świata. Oby niebo przedłużyło ich przywiązanie!

Archidam.

Sądzę że żaden powód, złość żadna osłabić je nie zdoła. Niewypowiedzianą pociechę macie z młodego księcia Mamiusa; jestto panicz najbardziej obiecujący ze wszystkich jakich znałem.

Kamillo.

Zgadzam się z tobą co do nadziei jakie obudza. Jestto dzielny chłopczyk; taki, co prawdziwie ożywia nas i odświeża stare serca: ci, co już przed jego urodzeniem o kulach chodzili pragną pożyć jeszcze, żeby go widzieć mężem.

Archidam.

A gdyby nie to, czyż radzi byliby umrzeć?

Kamillo.

Tak, gdyby nie mieli innego powodu dla którego by żyć pragnęli.

Archidam.

To gdyby król nie miał syna, powinni by pragnąć chodzić sobie o kulach, póki by się królowi syn nie urodził.

Scena II.

Sala w pałacu Leonta.

Wchodzą: *Leontes*, *Hermiona*, *Mamilius*, *Polixen* z orszakiem *Polixen*.

Dziewięć odmian wodnej planety (jak liczą pasterze) już upłynęło, odkąd opuściliśmy nasz tron nie obciążając się niczem: równie długi czas, mój bracie, mógłby być napelniony naszemi dziękami, a jednak musielibyśmy ztąd odjechać z wiecznym długiem. A zatem, jak cyfra stojąca w dobrym miejscu, przez jedno: *dzięki ci składam*, mnożę tysiące liczb co jęj towarzyszą.

Leontes.

Wstrzymaj się nieco z podziękowaniem; spłacisz je jak będziesz odjeżdżał.

Polixen.

Panie, to nastąpi jutro. Dręczony jestem obawą tego, co może się przytrafić lub rozwinąć w czasie mojej nieobecności. Oby nie zawiały jakie burzliwe wiatry w moją stronę, co by zmusiły wyrzec, że przewidywania były zanadto prawdziwe. Zresztą, tak długo tu naprzykrzałem się moją bytnością, że wasza królewska moc musi się czuć zmęczoną.

Leontes.

Tyle wytrzymałem, mój bracie, że nie łatwo potrafisz mię zmęczyć.

Polixen.

Nie mogę zostać dłużej.

Leontes.

Jeszcze tydzień.

Polixen.

Stanowczo jutro.

Leontes.

No, to rozdziel czas na dwoje, ale już nie sprzeciwiaj się.

Polixen.

Błagam cię, przestań tak nalegać. Żadna przekonywająca mowa, żadna inna na świecie, nie mogłaby mię tak zniewolić jak twoja. Skłoniłaby mię natychmiast, gdyby szło o jaką potrzebę twoją, choćbym miał pilne pobudki do odmówienia.

Sprawy moje zmagają mię do powrotu i tamując go, samą miłością swoją przykrość byś mi zadał, a pobyt mój dla ciebie samego byłby ciężarem i kłopotem. Chcąc uniknąć jednego i drugiego, żegnam cię, mój bracie.

Leontes.

Milczysz, królowo moja? Ty teraz przemów.

Hermiona.

Myślałam, panie, zachować się cicho, dopóki byś nie wy dobył z niego przysięgi że zostanie. Zanadto chłodno, panie, na niego nalegasz. Powiedz mu, że jesteś pewny, że wszystko dobrze idzie w Bohemii: tę uspokajającą wiadomość wczoraj otrzymano; powiedz mu to, a będzie pobity w najlepszym swoim szanec.

Leontes.

Dobrze mówisz, Hermiono.

Hermiona,

Gdyby mówił że tęskni do syna, to byłby silny powód. Niech się więc przyzna do tego i niech jedzie. Niech przysięgnie że o to mu idzie, a nie zostanie; kądzielami go wypędzimy. (*Do Polixena*) A jednak spróbuję, wyjednać, żebyś nam użyczył tydzień jeden swojej bytności. Jak będziesz miał swojego małżonka w Bohemii, dam ci, panie, pozwolenie przetrzymania go cały miesiąc dłużej nad czas zakreślony do jego powrotu: a jednak, zapewniam cię, Leoncie, ani o jedną sekundę nie skracam wymiaru mojej miłości, takiej, jaką tylko żona może mieć dla męża. Zostaniesz?

Polixen.

Nie, pani.

Hermiona.

Ale nie, zostaniesz.

Polixen.

Nie mogę, doprawdy.

Hermiona.

Doprawdy! Zbywasz mię bardzo słabą odmową. Ale na próżno! Choćbyś przysięgami swemi gwiazdy wszystkie poruszył, powiem ci jeszcze: panie, nie wolno wyjechać! Doprawdy nie pojedziesz. Jak kobieta powie *doprawdy*, to niemniej znaczy jak słowo mężczyzny. Co? chcesz jeszcze jechać? Zmusisz mię, panie, żebym cię zatrzymała jak jeńca, nie jak gościa.

Takim sposobem zapłacisz wykup nim wyjedziesz, a oszczędzisz sobie podziękowań. Jeńcem? czy gościem? Za to groźne *doprawdy* musisz być jednym lub drugim.

Polixen.

W takim razie, pani, wolę być gościem. Żeby zostać jeńcem, musiałbym wprzód panią obrazić, a to by mi jeszcze trudniej przyszło, niż tobie, pani, ukarać winnego.

Hermiona.

Więc już nie jestem stróżem więziennym, tylko gospodynią radą gościowi. To już dobrze! Musisz teraz, panie, odpowiedzieć, jakie to figle płataliście razem z moim mężem, kiedyście byli dziećmi. Nielada swywolniki!

Polixen.

Byli to, piękna królowo, dwaj chłopcy, którym się zdawało, że nic nie ma innego przed nimi, tylko dnie podobne do ubiegłych. Zdawało im się że wiecznie będą malcami.

Hermiona.

Czy wasza królewska mość nie była większym łotrem z dwojga?

Polixen.

Byliśmy jak bliźnię jagniątka, co sobie skakały na słońcu becząc jedno do drugiego. Co między nami było to były niewinne dzieciństwa; nie znaleźmy nauki występku i nie wyobrażaliśmy sobie żeby kto ją znał. Gdybyśmy tak dłużej żyli gdyby nasze słabe umysły nigdy się mocniej nie podnieciły pod wpływem krwi gorętszej, moglibyśmy śmiało odpowiedzieć niebu: *niewinny!* po usunięciu zarzutu winy pierworodnej.

Hermiona.

Ztego domyślałam się, że później były grzeszki.

Polixen.

O! szlachetna pani, później dopiero pokusy dla nas nastąpiły: bo wtedy kiedyśmy się jeszcze nie opierzyli, żona moja była małą dziewczynką, i twoich, pani, zalet nie spotkał jeszcze wzrok towarzysza moich zabaw dziecinnych.

Hermiona.

Przez litość! Nie wyprowadzajże z tego żadnych wniosków; chyba byś chciał powiedzieć, że twoja królowa i ja jesteśmy szatani. Mów jednak dalej. Odpowiadamy za grzechy, któreście z naszego powodu popełnili, jeżeli tylko od nas się

zaczęło i z nami trwało, — i jeżeli wam się noga nie pośliznęła z innemi.

Leontes (do Hermiony).

Czy zjednany nakoniec?

Hermiona.

Zostanie, panie mój.

Leontes.

Na moją prośbę nie chciał. Hermiono najdroższa, nigdy lepiej nie użyłaś mowy.

Hermiona.

Nigdy?

Leontes.

Nigdy, chyba raz tylko.

Hermiona.

Co? więc dwa razy dobrze mówiłam. Kiedyż to było pierwszy raz? Powiedz mi, proszę cię: napaś mię pochwałą, utucz jak kapłona. Dobry czyn, ginący w zapomnieniu, gubi tysiące innych, co by po nim nastąpiły. Pochwały, to nasze myto. Za słodki pocałunek prędjéj tysiąc staj przebiegniemy, niż pod ostrogą ledwie jedną, jak do więzienia. Ostatnią moją dobrą sprawą było, żem uprosiła go zostać. Jakaż była pierwsza? Bo przecież była starsza siostrzyczka, jeżeli dobrze rozumiała. Oby na imię było jéj Łaska. Raz tylko przedtem przemówiłam dorzecznie. Kiedyż to było? Powiedz! niecierpliwie pragnę słyszeć.

Leontes.

No, to było wtedy, kiedy upłynęły trzy zgryźliwe miesiące, co mię na śmierć zakwasiły, zanim mogłem wyjednać, żebyś mi podała białą rączkę i miłość wyznała. Powiedziałaś mi wtedy: „jestem twoją na zawsze“.

Hermiona.

To łaska doprawdy. Patrzcie więc, dwa razy dorzecznie przemówiłam. Pierwszy raz zjednałam sobie królewskiego małżonka na zawsze, drugi raz przyjaciela, choć na krótko.

Leontes (na stronie).

Za gorąco! za gorąco! Takie pomięszanie uczuć wygląda na pomięszanie osób. Mam jakby *tremor cordis*; skacze mi serce, ale nie z radości, nie z radości. Taka uprzejmość mogłaby być wprawdzie ofiarowana z odkrytą twarzą; mogłaby

nabrać swobody z samą serdecznością, z dobroci, z hojności uczuć, i przystałaby temu, kto się z nią wynurza; mogłoby to być; zgadzam się na to. Ale to ściskanie rąk, splatanie palców, jak oni teraz robią; te charakterystyczne śmiechy, jak przed zwierciadłem; przytłumione westchnienia, jak zagnanego jelenia! O! taka uprzejmość nie idzie mi ani do serca, ani do czoła. Mamilius, — jesteś moim dzieckiem?

Mamilius.

Tak, mój dobry panie.

Leontes.

Doprawdy? A! to mój kogutek! Co? z zawałanym nośkiem. Powiadają że podobny do mojego. Chodź, kapitanie, trzymaj się ostro; no, nie ostro, ale porządnie, kapitanie. Bo to i byczek i jałówka i cielę mają ostre rogi. (*Patrząc na Hermionę i Poliخنę*). Ciągłe przebierają palcami jak pensyonarki! (*Do Mamiliusa*) No, beczelne cielátko! jesteś moim cielátkiem?

Mamilius.

Dobrze pani, jeżeli chcesz.

Leontes.

Brak ci jeszcze czaszki kanciastój i przedłużnój, żeby być zupełnie podobnym do mnie. Powiadają jednak, że jesteście podobni do siebie jak dwa jajka. Kobiety tak mówią, byleby coś mówić. Ale niech sobie będą fałszywe jak farbierskie czernidło, jak wiatr, jak woda; fałszywe jak kości do grania, których używa człowiek nie robiący różnicy między swoim a cudzem; nic to nie pomoże, prawdę mówią, że to dziecko jest podobne do mnie. No, mój paziku, spojrzij na mnie tem czarującym oczkiem. Miły łotrzyku! mój ulubiony! mój pieszczoszku! — mogłaby twoja matka? mogłoby to być? — Wyobraźnio! twoje widzenia trafiają w serce; podobnemi czynisz rzeczy niemożliwe; porozumiewasz się ze snami — (jakże to być może?), — z tem co jest nieujęto współdziałasz, — i sprzymierzasz się z nicością! A jednak i to może być wiarogodne, że się splatasz z czemś rzeczywistem; właśnie tak jest teraz; tak jest nieodbicie; czuję to, czuję w zmaconym mózgu, w twardniejącej skroni.

Poliخن.

Cóż to królowi Sycylii?

Hermiona.

Zdaje się nieco wzruszony.

Polixen.

Co tobie, panie? Czego doznajesz? Jak się czujesz, najukochańszy bracie?

Hermiona.

Zdajesz się mieć zafrasowane czoło. Czy doznajesz jakiego wzruszenia, panie?

Leontes.

Nie, na prawdę. Jak też czasem naturą zdradza swoją słabość i swoją czułość, narażając się na pośmiewisko stwardniałych serc! Patrząc na rysy twarzy mojego chłopca, zdawało mi się że młodnieję o dwadzieścia trzy lata; widziałem siebie bez majtek, w zielonéj aksamitnéj sukience i ze szpadką okrągłą zakończoną, z obawy żeby nie ukąsiła swojego pana i nie stała mu się zgubną, jak często zgubnemi bywają ozdoby. Jakże też, wyobrażam sobie, podobny byłem do téj pestki, do tej dyni małéj, do tego szlachcica! (*Do Mamilusa*) Mój pocziwy przyjacielu, wzięłbyś plewy za ziarno?

Mamilius.

Nie, panie, ja bym się bił.

Leontes.

Biłbyś się? dobrze; szczęśliwy los niech będzie twoim udziałem! Bracie mój, czy tak przepadasz za swoim chłopcem jak ja za moim?

Polixen.

U mnie w domu, mój panie, on jest całem mojem zajęciem, moją radością, moją troską. To mój sprzymierzeniec przysięgły, mój nieprzyjaciel, mój dworak, mój żołnierz, mój minister. Wszystkiem jest. Dzień lipcowy tak prędko mi z nim schodzi jak grudniowy, a zmiennością fantazyi dziecinnych on mię leczy z ciężkich myśli, od których krew gęstnieje.

Leontes.

Taką samą służbę ten giermek u mnie pełni. Pójdziemy się przejść obydwa, pozostawiając tobie, panie, poważniejszą zająć się przechadzką. Hermiono, w przyjęciu naszego brata okażesz o ile nas kochasz. Niech to co jest najdroższem w Sy-cylii będzie taniem dla niego. Po tobie i moim młodym korsarzu on jest najbliższym mojego serca.

Hermiona.

Jeżeli nas, panie, zechcesz szukać, będziemy ci służyć w ogrodzie. Mamyż tam czekać na ciebie?

Leontes.

Kierujcie się według upodobania; znajdę was bylebyście byli pod niebem. Mam ryby łowić, chociaż nie widać jeszcze jak wędę zarzucam. Idźcie, idźcie! (Na stronie podpatrując Hermionę). Jak nadstawia dziób i łapę! Jak się uzbraja w całą śmiałość, jaką miewa niewierna żona z pobłażającym mężem!

(Odchodzi Polixen i Hermiona z orszakiem).

Już poszli! w gęstwinię, po kolana! o! wyżej uszów, wyżej głowy, a z rogami. Idź, baw się chłopcze, baw się. Twoja matka bawi się, — i ja się także bawię, ale w niezaszczytną grę, gdzie będę wygwizdany do grobu. Pogardę i pośmiewisko będę miał za podzwonne. Idź, baw się chłopcze, baw się. Bywali już, jeżeli się nie mylę, i przedtem zwiedzeni mężowie. Nie jeden w téj właśnie chwili rękę żonie podaje, nie domyślając się że w jego nieobecności pan Śmieszek, jego sąsiad, był panem w jego dobrach, bez względu na szluzę i tany. Tak, to pociecha mówić sobie, że inni też ludzie mają wrota co się otwierały tak jak moje, pomimo ich woli. Gdyby wszyscy rozpaczali, co mają niesforne żony, dziesiąta część rodu ludzkiego musiałaby się powiesić. Na to niema lekarstwa. Jest jakaś planeta przewrotna, co się wywiera wszędzie gdzie przeważa, a przeważną jest, wiercie mi, ze wschodu na zachód, z północy na południe. W konkluzji: nie ma barykady na takie rzeczy; wejdzie i wyjdzie nieprzyjaciół z bagażem i bronią: tysiące z pomiędzy nas cierpi na to a nie czuje (Do Mamiliusza) Jak ty wyglądasz. mój chłopcze?

Mamilius

Tak jak ojciec; wszyscy mówią.

Leontes.

Ha! zawsze to pociecha. (Spostrzega Kamilla) Co widzisz? Kamillo tutaj?

Kamillo.

Jestem dobry panie.

Leontes.

Idź, pobaw się, Mamilius. Tyś uczciwy. (Mamilius odchodzi). Kamillo, ten wielki pan ma zostać dłużej.

Kamillo.

Dużo to trudu kosztowało kazać mu zarzucić kotwicę. Coś ja, panie zapuszczał, zawracała ku domowi.

Leontes.

Uważałeś?

Kamillo.

Niechciał zostać na twoją prośbę, panie; miał pilniejsze interesa.

Leontes.

Spostrzegłeś? — O! już są koło mnie tacy, co mruczą i szepeczą: „król Sycylii jest taki, owaki“. Nie prędko ja to wszystko przełknę. Jakże się to stało, Kamillo że on został?

Kamillo.

Na prośbę naszój dobrej pani.

Leontes.

Na prośbę królowej, niech tak będzie i dobrej, powinno być, ale nie jest; jak rzeczy stoją. Czy pochwyciła to inna jaka pojętna czaszka, prócz twojej? Bo ty masz dowcip bardziej gębczasty; ty więcć łapiesz jak tamte drewniane czaszki. Nikt nie uważał, nieprawdaż, chyba kto z tych wyborowych głowaczów? Podrzędne figury może nic w téj historii nie widziały: mów no!

Kamillo.

W téj historii? Ja myślę, panie, że prawie musieli zrozumieć że król Bohemii zostaje.

Leontes

Co?

Kamillo.

Że zostaje tu dłużej.

Leontes.

Dobrze; a dla czego?

Kamillo.

Żeby dogodzić waszój królewskiej mości i zadowolnić życzenia naszój najłaskawszej pani.

Leontes.

Zadowolnić — życzenia twojej pani? Zadowolnić? Dostyc tego. Powierzałem ci, Kamillo, rzeczy, które miałem najbardziej na sercu, zarówno jak tajemnice izby radnej; jak ksiądz oczyszczałeś mi duszę i odchodziłem od ciebie jak nawrócony

pokutnik: ale zawiodłem się na twojej prawości; zawiodłem się na tem, co mi się zdawało być prawością.

Kamillo.

Niech Bóg broni mój panie!

Leontes.

Dłużej na tobie polegać. — nie jesteś uczciwy, albo jeżeli się skłaniał ku uczciwości, jesteś tchórz: podstawiasz uczciwości nogę, żeby nie szła prostą drogą. Mam cię uważać za sługę który się wszczepił w moje zaufanie i odpłaca mi niedbalstwem albo jak głupca, który widzi że w grze z oszustami zabierają mi najlepsze skarby, a on na wszystko patrzy jak na żarty.

Kamillo.

Miłościwy panie, mogę być niedbałym, nierozsądnym lub nieśmiałym; od tych wad nikt nie jest tak dalece wolnym, żeby kiedykolwiek jego niedbalstwo, nierozsądek lub lekkie serce nie wyszły na wierzch. Jeżeli kiedykolwiek w twoich sprawach panie, byłem rozmyślnie niedbałym, było to głupstwem z mojej strony, jeżeli umyślnie udawałem głupiego, to chyba że za niedbałem dobrze rozważyć skutki mojego postępowania; jeżeli kiedy obawiałem się spełnić jaki czyn wątpliwego skutku, a którego spełnienie głośno rozbijałoby się o niewykonalność, była to obawa, jakiej często i najmędrsi mogą doznawać. Takie są, miłościwy panie, dopuszczalne niedostatki, od których największa uczciwość może nie być wolną. Ale błagam cię, panie, bądź ze mną otwartym; daj mi poznać moje przewinienia w ich właściwej postaci; jeżeli wtedy wyprę się ich, to dla tego że one obce mi są zupełnie.

Leontes.

Nie widziałeś, Kamillo, (ale widziałeś bez wątpienia bo inaczej szkło twojej lornetki byłoby gęstszem od rogu), albo czyś nie słyszał, (bo w obec tak jawnego widoku pogłoska nie może być niema), — lub czyś pomyślał, (bo pomyślenie nie ma miejsca w człowieku, który wcale nie myśli), że moja żona jest niewierną? Jeżeli to przyznasz, (a przyznać musisz, chybaś zaprzeczył że masz oczy, uszy i myśl), wtedy powiedz że moja żona jest drewnianym meblem, że zasługuje na taką niepoczesną nazwę, jak lada dziewczka co wyprzedza zaręczyny: powiedz mi to i wytłomacz.

Kamillo.

Nigdybym nie pozwolił, żeby w mojej obecności tak czeroniono moją najjaśniejszą panią, bez natychmiastowej pomsty. Przekląłbym moje serce, gdyby wyszło z niego coś tak niegodnego, jak to com słyszał. Powtórzyć to byłoby grzechem równie ciężkim, jak sam grzech zarzucany, gdyby był istotnym.

Leontes.

A może to nic nie znaczy szeptać z sobą? zbliżyć się do siebie policzkami, nosem? całować usta? przerywać rozpęd śmiechu westchnieniem? (znak niewątpliwy kruszącej się cnoty) dotykać się nogami? przyciskać się do kątów? pragnąć żeby zegar pospieszył, żeby godzina była minutą, południe północą, żeby wszystkich oczy były bielmem osłonięte, prócz ich oczu, ch tylko, żeby ich zbrodnia nie była widzialną? Czy to nic, nie jest? Więc świat cały, ze wszystkiem co w nim jest, jest niczem; więc niebo co nas pokrywa, jest niczem, więc Boemia jest niczem, moja żona niczem, — i w tych wszystkich inicościach nie ma nic, jeżeli to jest niczem.

Kamillo.

Mój dobry panie, wylecz się z tego chorobliwego mniemania i to jak najprędzej, bo ono jest w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Leontes.

Niech tak będzie, ale prawdziwe.

Kamillo.

Nie, nie, miłościwy panie.

Leontes.

Prawdziwe; kłamiesz, kłamiesz. Mówię że kłamiesz, Kamillo, i nienawidzę cię! Nazwij się sam bałwanem, bezmyślnym gburem albo intrygantem dwuznacznym, który jednakowem okiem patrzy na dobre i złe, skłaniając się zarówno do jednego i drugiego. Gdyby wątroba mojej żony tak była zepsuta jak jój życie, umarłaby zanim się ten piasek w klepsydze przesypie.

Kamillo.

Któżby był przyczyną?

Leontes.

Kto? Ten co ją nosi, jak medal zawieszoną na szyi, król Bohemii, ten co Gdybym miał przy sobie wiernych służebników, którzyby mieli oczy do strzeżenia mojej czci, tak

dobrze jak swoich własnych zysków, swoich dogodności, tak by pewnie zrobili, że już by tego więcej nie było. Tak; a ty, jego, cześnik, ty którem z niskiej ławy wywiódł na wzniesienie i zrobił wielmożnym; ty który możesz widzieć, tak dobrze jak niebo widzi ziemię a ziemia widzi niebo, jak dalece jestem skrzywdzony, ty, mógłbyś przyprowadzić czarę, coby mojemu nieprzyjacielowi przyemiła powieki; a ten napój kordyałem byłby dla mnie.

Kamillo.

Najjaśniejszy panie, mógłbym pewnie to zrobić; mógłbym przygotować napój niegwałtownie działający, ale powolnie, nie mający gwałtownych oznak trucizny. Ale nie mogę uwierzyć w to poszczerbienie czci mojej pani, tak wysoko szanowanej.

Leontes.

Wiesz, że cię kochał. Teraz, wątpij o tem co ci mówię, i zgnij nędznie! Czyż możesz przypuścić, żebym ja mógł być tak bezrozumny, tak pomięszany, żebym sam sobie gotował podobne zmartwienie? żebym kłał szaty których białość jest snem moim, a bez tego, ciernie, kolce, pokrzywy, żądła będą mojem posłaniem? żebym zgorszeniem zaćmił pochodzenie mojego syna, którego mam za swojego, kocham jak swojego, gdybym nie miał najdojrzalszych do tego powodów? Mógłżebym być człowiekiem tak obłąkanym?

Kamillo.

Kiedy muszę tobie wierzyć, panie, — to niech tak będzie! Usunę króla Bohemii, byleby, jak jego już nie będzie, Wasza Królewska Mość raczyła przyjąć napowrót królową i mieć ją za swoją małżonkę, jak była od początku, choćby tylko przez wzgląd na syna, a nadto, żeby zamknąć usta obmowie na dworach i państwach znanych lub sprzymierzonych.

Leontes.

Doradzasz mi sposób postępowania, jaki już sam sobie nakreśliłem. Nie dopuszczę żadnego hańbiącego cześć jój rozgłosu, żadnego.

Kamillo.

Najjaśniejszy panie, idź więc, — i z tak pogodnym wejrzeniem, jak przyjacielom wśród uczt przystoi, zachowuj się z królem Bohemii i z królową. Ja jestem jego cześnikiem; je-

żeli zdrowy napój odemnie otrzyma, nie uważaj mię już za swego sługę.

Leontes.

Dosyć na tem. Tak zrób, a masz połowę mego serca. Jeżeli tego nie zrobisz, tak jakbyś swoje wyrwał.

Kamillo.

Zrobię, panie.

Leontes.

Będę udawał przyjaźń, jak mi radzisz (Wychodzi).

Kamillo.

(Sam) O! nieszczęśliwa królowo! Ale ja, w jakim też jestem położeniu! Muszę być zabójcą dobrego Polixena, a powodem przynaglającym ma być posłuszeństwo panu, który wyłamawszy się z pod władzy rozumu, chce żeby wszyscy co od niego zależą, podobnie postępowali. Skoro tak uczynię, oczekuje mię powiększenie zaszczytów. Ach! choćbym tysiąc znał przykładów, że wiodło się tym, co się targnęli na prawych królów, nie zrobiłbym tego. A tembardziej gdy pomniki z miedzi, kamienia lub pergaminu nie dostarczają żadnego podobnego przykładu, gdy czyn taki sama przewrotność odpycha, nie mi innego nie pozostaje, tylko opuścić dwór. Rzecz ta, spełniona czy nie spełniona, jest dla mnie przepaścią. Oby szczęśliwsza gwiazda zapanowała! Otóż i król Bohemii. (Polixen wchodzi).

Polixen.

Dziwna rzecz; zdawałoby się, że moje stanowisko tutaj zaczyna się chwiać. Nie mówią do mnie!... Dzień dobry Kamillo.

Kamillo.

Składam moje uszanowanie, najjaśniejszy panie.

Polixen.

Co nowego na dworze?

Kamillo.

Nic osobliwego panie.

Polixen.

Król tak wygląda jak gdyby utracił jaką prowincję, jakie władztwo drogie jak życie. Dopiero co spotkałem go, z pozdrowieniem zwykłym; a on odwracając oczy w inną stronę, z pogardliwym wyrazem ust ucieka odemnie, — i każe mi odgadywać co się to kryje pod tą zmianą postępowania.

Kamillo.

Nie śmiem wiedzieć tego, najjaśniejszy panie.

Polixen.

Jakto, nie śmiem? Nie! wiesz i nie śmiesz powiedzieć mi wyraźnie. Coś naksztalt tego. Bo co do siebie, musisz przecie wiedzieć co wiesz, i nie możesz mówić że nie śmiesz. Dobry Kamillo, twoja pomieszana fizyonomia jest zwierciadłem jakiejś zmiany we mnie: musi się to mnie dotyczyć, kiedy sam się czuję zmieszanym.

Kamillo.

Jest jakiś chorobliwy zaród, co kogoś z nas w rozstrój wprowadza; ale nie mogę nazwać choroby, a pochodzi od ciebie, panie, chociaż sam zdrow jesteś.

Polixen.

Jakto? choroba pochodzi odemnie? Ach, nie przypisuję mi wzroku bazyliuszka. Oczy moje zwracały się na tysiące ludzi, którym dobrze się działało, a nikogo wzrok mój nie zabił. Kamillo, jak jesteś szlachcicem a przytem człowiekiem światłym i doświadczonym (co niemniej zdobi szachectwo, jak imię przodków, których sława nas zdobi,) błagam cię, błagam cię, jeżeli wiesz co takiego, co wypadaloby mi wiedzieć, nie zamykaj tego w nieświadomem utajeniu.

Kamillo.

Nie mogę odpowiedzieć.

Polixen.

Choroba pochodząca odemnie, chociaż sam zdrow jestem. Muszę mieć odpowiedź! Słuchaj, Kamillo, zaklinam cię na wszystkie zobowiązania ludzkie zgodne z honorem (a nienajmniejszym jest ta prośba moja), — oznajmij mi jaką to dostrzegasz okoliczność złowrogą co podpełza ku mnie; powiedz bliska czy daleka; jaki środek uprzedzenia złego, jeżeli jest jaki; a jeżeli nie, jak to spotkać najłepiej.

Kamillo.

Panie powiem ci, kiedyś mię zaklął na honor i sam w cześć twoją wierzę. Uważaj więc panie na moją radę i spełnij ją tak prędko, jak ją wyrazić zdołam; jeżeli nie, ty, panie i ja, możemy oba krzyknąć: zgubione! i dobranoc!

Polixen.

Mów, dobry Kamillo.

Kamillo.

Naznaczono mi być tym, który cię ma zabić.

Polixen.

Przez kogo naznaczono?

Kamillo.

Przez króla.

Polixen.

Za co?

Kamillo.

On myśli, owszem przysięga z taką pewnością jakby wiedział lub służył za pośrednika, że ty panie, w zakazanych jesteś stosunkach z królową.

Polixen.

O! gdyby tak było, niechby krew moja najczystsza obróciła się w zarazę, — niechby imię moje powtarzane było w parze z imieniem tego, który najlepszego zdradził! Niechby gdziekolwiek stanę, technienie sławy mojej najświeższej stało się obmierzłem dla najgrubszych zmysłów! Niechby obecność moja była unikana i znienawidzoną gorzej od najstraszniejszej zarazy o jakiej kto kiedykolwiek słyszał lub czytał.

Kamillo.

Daremnie byś panie, odprzysięgał się przez każdą gwiazdę na niebie i wszystkie ich wpływy: tyleby to znaczyło, co rozkazać morzu nie słuchać księżycy; tak niepodobną byłoby rzeczą zburzyć przysięgami lub zachwiać radami budynek jego szaleństwa, którego fundamenta oparły się na jego przekonaniu i trwać będą dopóki ciało jego będzie stało.

Polixen.

Z czego to urosło?

Kamillo.

Nie wiem, ale tego jestem pewny, że bezpieczniej jest ustrzedz się tego co narosło, jak badać skąd to powstało. Jeżeli więc nie obawiasz się, panie, zaufać mojej uczciwości, której tytuły zawarte są w tej skrzynce, którą weźmiesz z sobą, panie, jako zakład, to uciekajmy tejże nocy. Sługom twoim szepnę co mają robić, i po dwóch, po trzech, różnemi bramami, wyprowadzę ich z miasta. Co do mnie, oddaję na twoje usługi, panie, mój los, którym tu postradał, wyjawiając ci wszystko. Nie wahaj się, panie, bo, klnę się czecią moich

przodków, wyjawilem ci prawdę. Gdybyś chciał szukać dowodniejszego przekonania, już ja nie śmiałbym być przy tobie, a nie bardziej tu, panie, będziesz bezpieczny, jak człowiek skazany na śmierć z ust królewskich, z przysięgą że się wyrok wykona.

Polixen.

Wierzę ci; widziałem jego serce na jego twarzy. Podaj mi rękę; bądź mi sternikiem, a miejsce twoje będzie zawsze obok mnie. Okręty moje gotowe, a moi ludzie od dwóch dni oczekują na rozkaz do odpłynięcia. Tęj zazdrości przedmiotem jest osoba rzadkich zalet, im jest droższą, tem zazdrość musi być większą; ile zaś sam jest potężny, tyle zazdrość jego musi być gwałtowną; a że, jak mniema, zbezczescił go człowiek, który się zawsze głosił jego przyjacielem, to i zemsta jego tem zawziętszą być musi. Obawa i na mnie cień swój rzuca. Oby mi wyprawa zamierzona sprzyjała, oby pociechę przyniosła szlachetnej królowej, zaplątanęj w jego sieci, chociaż niczem nie zasłużyła na złośliwe posądzania. Chodźmy Kamillo! Będę cię szanował jak ojca, jeżeli mnie żywego ztąd wyprowadzisz. Uchodźmy!

Kamillo.

Z mocy mojego urzędu rozporządzam kluczami wszystkich bram. Niech wasza królewska mość korzysta z tej naglającej chwili! Prędjéj, panie, oddalmy się. (Wychodzą)

AKT II.

S c e n a III.

(W pałacu).

Wchodzi *Hermiona*, *Mamilus* i panie z orszaku królowej.

Hermiona.

Weźcie chłopca między siebie: tak mię męczy że mi sił nie starczy.

Jedna z pań.

Pójdźmy łaskawy książę. Czy chcesz mię za towarzyszkę do zabawy?

Mamilus.

O! nie; nie ciebie pani.

Pierwsza pani.

Dla czego, miły książę?

Mamilius.

Bo mię za bardzo całujesz i mówisz do mnie, jak gdybym był jeszcze małym dzieckiem. (Do drugiej) Panią bardziej kocham.

Druga pani.

Dla czego tak, mój książę?

Mamilius.

Nie dla tego że masz czarniejsze brwi. A jednak czarne brwi, jak powiadają, lepiej przystoją niektórym kobietom, byleby nie były za gęste, tylko żeby były w półkole, jak półksiężyc nakreślony piórem.

Druga pani.

Kto nauczył cię tego?

Mamilius.

Twarze kobiet. (Do pierwszej) Powiedźże mi, pani, jakiego koloru są twoje brwi?

Pierwsza pani.

Sinego.

Mamilius.

Żartujesz ze mnie. Widziałem damski nos siny, ale nigdy brwi.

Druga pani.

Słuchajno, książę. Kibić dostojnej matki twojej widocznie się zaokrągła. Niedługo tak się stanie, że nowemu ślicznemu książątku służyć będziemy, a wtedy bardzo rad będziesz z nami się pobawić, jeżeli tylko my zechcemy.

Pierwsza pani.

Od niejakiego czasu nabrała pożądaną tuszy. Oby jej niebo sprzyjało!

Hermiona.

Jakażto mądra rozmowa was zajmuje. (Do Mamiliusa) Chodź, mój paniczku, gotową już jestem cię słuchać. Siądź tu przy nas, proszę cię i opowiedz nam jaką bajeczkę.

Mamilius.

Jakaż ma być, wesoła, czy smutna?

Hermiona.

Tak wesoła jak tylko sam chcesz.

Mamilius.

Smutna powiastka stosowniejsza w zimie. Znam jedną o nieboszczykach i widmach.

Hermiona.

To ja nam opowiedz, mój panie. Chodź tu usiądź sobie. Dalej, staraj się jaknajlepiej nastraszyć nas widmami; bardzo jesteś w tem biegły.

Mamilius.

Był jeden człowiek.....

Hermiona.

Ale chodź-no, usiądź. Teraz mów dalej.

Mamilius.

Który mieszkał obok cmentarza.... Będę mówił cichutko, żeby mnie tam świeszcze nie słyszały.

Hermiona.

To się przybliź tu i mów mi do ucha.

(Wchodzi *Leontes*, *Antygon* i panowie. potem straż)

Leontes.

Więc tam go spotkano z orszakiem? Kamillo był z nim?

Jeden z panów.

Spotkałem ich tam za jodłowymi gajem. Nigdy nie widział ludzi tak prędko zmiatających drogi. Śledziłem za nimi do póki nie wsiedli na okręty.

Leontes.

Jakżem był trafnie natchniony w moim sprawiedliwym sądzie, w moich słusznych podejrzeniach! Niestety! gdybym mógł mniej widzieć: przekłete to natchnienie! Może siedzieć pajak na dnie czary, może kto się napić, postawić, a jednak nie zaczerpnąć jadu; bo wiadomość jego nie była zatrutą: ale niech kto przedstawi jego oczom obrzydliwą przyprawę, niech mu kto powie czego się napił, a wnet z gwałtownem wysileniem gardła i boków napój z siebie wyrzuci. Napiłem się i zobaczyłem pajaka. Kamillo służył za pośrednika. Jest spiszek na moje życie, na moją koronę. Podejrzenie stało się prawdą. Ten nędzny obłudnik, któregom chciał użyć, był już wprzód użyty przez niego. Odkrył mu moje zamiary, a ja skrzywdzony zostałem ich igraszką. Jakim sposobem bramy tak łatwo zostały otwarte?

Jeden z panów.

Stało się to z przyczyny wielkiej jego władzy, która często nie mniejsze sprawiała skutki, a to według twoich, panie rozkazów.

Leontes.

Wiem o tém, — aż nadto. — (Do Hermiony) Daj mi, pani, chłopca. Rad jestem żeś go nie karmiła: chociaż ma niektóre rysy ze mnie, ale twojej krwi w nim za wiele.

Hermiona.

Cóż to? żart?

Leontes.

Weźcie ztąd chłopca, niech się do niej nie zbliża; uprowadźcie go: niech ona z tym igra, którego nosi; bo to Polixen sprawił stan twój widoczny.

Hermiona.

Dosyć by powiedzieć że nie on, a przysięgłabym panie, że uwierzysz mojemu słowu, chociaż tak jesteś skłonny do sprzeciwiania się.

Leontes.

Panowie patrzajcie na nią, uważajcie ją dobrze; zechcecie pewnie powiedzieć: „to przystojna pani“, a sprawiedliwość waszych serc doda: „szkoda że nie jest uczciwą, a szanowną“. Chwalcie tylko jej postać zewnętrzną (która, słowo daję, zasługuje na wielkie pochwały), a zaraz dwuznaczne mrugnięcie, zaraz: hm! ha! i te inne drobne piętnowania, których potwarz używa... o! nie, których pobłażanie używa, bo potwarz tylko cnoty się czepia; zaraz mrugnięcia i hm! ha! jak powiecie że jest przystojna, wcisnę się w środek zanim powiecie że jest uczciwa; bo niech to będzie wiadomem z ust tego, który najwięcej ma powodów do ubolewania nad tem, ona — jest niewierną.

Hermiona.

Gdyby to zbrodniarz powiedział, największy zbrodniarz na świecie, tem większym byłby zbrodniarzem. O tobie, panie powiem tylko żeś się pomylił.

Leontes.

Ty, pani, pomyliłaś się, biorąc Polixena za Leonta. O! ty istoto, której nie chcę nazwać mianem istot twojego rzędu, z uwagi żeby gburostwo, powołując się na mnie, nie używało

podobnej mowy we wszystkich klasach, i nie zatarto przyzwyczajenia różnicy między księciem a żebrakiem. Powiedziałem, że jest występna, powiedziałem z kim; więc jeszcze, jest zdrajczynią, a Kamillo jest jej sprzymierzeńcem. Kamillo wie to, co ona powinna się wstydzić wiedzieć sama, ona i jej najpodlejszy wspólnik, że jest skazicielką łoża, tak jak te nikczemne, którym pospólstwo najgorsze daje imiona; tak, i powiernicą jest ich świeżej ucieczki.

Hermiona.

Nie, na życie moje, nie jestem powiernicą niczego podobnego. Ach, jakże to tobie, panie, będzie przykro, jak przyjdiesz do jasnego przekonania, żeś mię tak wystawił. Drogi mój panie, z trudnością mi to wtedy wynagrodzisz wyznaniem, żeś się pomylił.

Leontes.

Nie; jeżeli się myślę, w tych założeniach, na których się opieram, to chyba środek ziemi nie dosyć jest mocny żeby uniósł bąka dziecinnego. (Pokazując na Hermionę). Uprowadźcie ją do więzienia, kto będzie za nią przemawiał, będzie uznany za winnego, za to tylko że mówił.

Hermiona.

Jakaś złowróżba planeta panuje. Muszę być cierpliwą, dopóki niebo nie zaświeci przychylniejszym aspektem. Moi dobrzy panowie, nie jestem skora do płaczu, tak jak płęć moja zwykle bywa; może być że brak tej próżnej rosy litość waszą osuszy, ale mam tu (z ręką na sercu) zacząć boleść, która tak pali, że jej łzy nie ugaszą. Błagam was, panowie moi, nie mierzcie mię innymi myślami, tylko najlepszymi, jakimi tylko miłość bliźniego zdoła was natchnąć, — a teraz, niech wola królewska się spełni.

Leontes.

Czy będę usłuchany?

Hermiona.

Któż pójdzie ze mną? Błagam cię, najjaśniejszy panie, niech moje kobiety będą ze mną; bo, widzisz, panie, mój stan tego wymaga. (Do kobiet). Nie płaczcie, dobre dusze, nie ma powodu. Jak się dowiecie że wasza pani zasłużyła na karę więzienia, wtedy wylewajcie łzy nademną: próba przez którą teraz przechodzę jest dla mnie drogą lepszej zasługi. Żegniam

cię, panie; nigdy nie życzyła widzieć cię zmartwionym; teraz jestem pewna że będziesz takim. Chodźcie, kobiety moje; macie pozwolenie.

Leontes.

Daléj, spełniajcie nasz rozkaz; idźcie.

(Wychodzi *Hermiona* pod strażą i panie).

Jeden z panów.

Błagam cię, panie, przywołaj królowę.

Antygon.

Panie, upewnij się w tem co czynisz, żeby sprawiedliwość twoja nie stała się gwałtem, na którymby trzy wielkie ofiary ucierpiały: ty panie, królowa i twój syn.

Jeden z panów.

Co do niéj, najjaśniejszy panie, ośmielam się życie stawieć; tak jest, panie, życie stawiam w zakład, jeżeli je przyjmiesz, że królowa jest bez plamy w oczach nieba i względem ciebie; chcę mówić, co do tego, w czem ją, panie, obwiniasz.

Antygon.

Gdyby się pokazało że nie, gotów jestem dom gdzie z żoną mieszkam uważać za miejsce złodziejskiej zasadzki, sprzedaż się z nią, i tyle tylko jéj wierzyć ile ją widzę i dotykam się; bo chyba każdy cał kobiety na świecie, każdy atom kobiecego ciała jest pełen fałszu, jeżeli ona fałszywa.

Leontes.

Milezcie.

Jeden z panów.

Drogi Panie.

Antygon.

Nie dla siebie, panie, mówimy, ale dla ciebie. Zwiedziony jesteś, panie, i to przez jakiegoś niegodziwca, który za to będzie potępiony. Chciałbym znać tego łotra, bo bym go na tym już świecie ukarał. Jeżeli jéj cześć jest naruszona — mam trzy córki: najstarsza ma jedenaście lat, druga dziewięć, trzecia około pięciu. No! więc jeżeli to prawda, córki mi za to zapłacą; na honor, pokaleczę je; nie dożyją do czterestu lat, żeby wydać fałszywe potomstwa; są współdziedziczkami: wolałbym sam się zgubić, niż żeby miał pójść z nich ród nieprawy.

Leontes.

Przestań, ani słowa więcej. Oceniasz tę sprawę tak tępyim zmysłem, jak węch trupa, (— chwyta go za rękę) ja ją widzę i czuję, tak jak ty czujesz co robię, i widzisz narzędzie twojego czucia.

Antygon.

Jeżeli tak, to niepotrzeba trumny dla pochowania czei. Nie ma ani ziarka cnoty, którem by można podkadzić oblicze całej gnojnój ziemi.

Leontes.

Co? nie mam zaufania?

Antygon.

Wolałbym, panie, żebyś sam raczej na tym gruncie uczuł brak zaufania w sobie, i bardziej bym się radował, gdyby się sprawdziło moje przekonanie o jój czei, jak twoje podejrzenie, chociażbyś się sam, panie, przez to na nagane naraził.

Leontes.

Cóż mamy za potrzebę rozprawiać z wami o tem. Czemuż nie idziemy raczej za naszym niewstrzymanym popędem? Nasza prerogatywa nie wymaga waszych rad; tylko dobroć nasza wrodzona skłania nas do udzielania się: jeżeli wy (ogłupieni, albo udając zręczność takich) nie chcecie albo nie możecie poznać się na prawdzie, tak jak my, dowiedzcie się, że nie potrzebujemy więcej waszych przełożeń: cała sprawa, zysk strata, rozporządzenie, wszystko to do nas właściwie należy.

Antygon.

A ja byłbym życzył, najjaśniejszy panie, żebyś był to sam z sobą w cichości rozsądził, bez większego rozgłosu.

Leontes.

Jakże by to być mogło? Albo z wiekiem stałeś się niedorzecznym, alboś się takim urodził. Ucieczka Kamilla przydała jeszcze do dowodu wynikającego z ich poufalskości okoliczność nową, chociaż rzecz cała już była tyle namacalną, ile taką być może sprawa, której nie brak, prócz naocznego poświadczenia, nie żeby była dowiedziona, ale tylko potwierdzoną; — i to przyspieszyło całe postępowanie. Jednakże, dla pomnożenia pewności (bo w sprawie tak ważnej nie dobrze by było postępować doraźnie) wyprawilem z pośpiechem do świątyn Delf, do świątyni Apollina, Kleomena i Diona, których

znasz znakomitą zdolność. Więc od wyroczni, której brzmienie odniosą, wszystko zależyć będzie; natchnione rady albo mię zatrzymają, albo pobudzą. Czym dobrze zrobił?

(Jeden z panów).

Dobrze postąpiono, panie.

Leontes.

Chociaż sam jestem zadowolniony, i nie potrzebuje więcej wiedzieć, jednak wyrocznia zaspokoi umysły innych, tych mianowicie, których nieświadoma łatwowierność nie chce wznieść się do uznania prawdy. Tak więc osądziliśmy za dobre, żeby była zamknięta, zdala od naszej wolnej osoby, z obawy żeby nie pozostawić jęj środka do popełnienia takiej samęj zdrady jakiej się dopuścili ci dwaj co uciekali. Chodźmy; pójdźcie za mną; przemówimy o tém publicznie: bo ta sprawa wszystkich nas pobudzi.

Antygon (na stronie).

Do śmiechu, jak miemam, jeżeli rzetelna prawda będzie poznana. *(Wychodzą).*

Scena IV.

Więzienie.

Wchodzi *Paulina*, dworzanin i służba.

Paulina.

Dozorca więzienia, — zawołać go; powiedzieć mu kto jestem. *(Dworzanin wychodzi)* Dobra pani! Nie ma dworu w Europie, którego byś nie była godną, i ty w więzieniu! cóż tu czynisz? *(Wraca dworzanin z dozorcą)* Cóż, kochany panie znasz mię, czy nie znasz?

Dozorca.

Wiem, pani, że jesteś zacną damą, którą wielce poważam.

Paulina.

Więc, proszę cię, zaprowadź mię do królowej.

Dozorca.

Nie mogę, pani; mam wyraźny rozkaz, który się temu sprzeciwia.

Paulina.

Kłopotą się tu o to, żeby zaryglować cześć i cnotę, i nie-dopuszczyć życzliwych odwiedzin. A będziez wolno, proszę, wiedzieć jęj kobiety? którąkolwiek z nich? Emilie?

Dozorca.

Jeżeli pani zechce kazać ustąpić tym osobom, przyprowadzę tu Emilię.

Paulina.

Proszę, zawołaj ją. Usuniecie się. (*Wychodzą*).

Dozorca.

Nadto, pozwoli pani, że będę przytomny rozmowie.

Paulina.

Dobrze, i owszem, proszę. (*Dozorca wychodzi*) Tak się tu kłopotczą, żeby to co jest bez plamy splamić w sposób nie dający się ubarwić! (*Wchodzi z dozorcą Emilia*) Droga pani, jakże się ma najłaskawsza królowa nasza?

Emilia.

Tak dobrze, jak tylko być może przy takim zbiegu wielkości duszy i opuszczenia. Z powodu obaw i smutków, (nigdy uczuciem obdarzona dama większych nie doznała), rozwiązanie nastąpiło cokolwiek zawczasie.

Paulina.

Czy chłopiec?

Emilia.

Córka; ładna dziecina, zdrowa i obiecująca, że żyć będzie. Królowej sprawia to wielką ulgę. Mówi: „biedna moja niewolnico, tak jestem niewinna jak ty“.

Paulina.

Śmiało bym na to przysięgła. Ach, te niebezpieczne, chorobliwe przywidzenia lunatyczne króla niech przepadną! Trzeba mu to powiedzieć, i powie się. Ten obowiązek najlepiej przysłał kobiecie, i ja się tego podejmuję. Jeżeli miodowych słów użyję, niech mi język spuchnie, niech już nigdy nie służy za narzędzie rozczzerwienionego gniewu. Proszę cię, Emilio zaleć królowej moje najuniżeńsze służby. Jeżeli odważy się powierzyć mi swoją małą dziecinę, pokażę ją królowi, i podejmuję się być jej adwokatem w najgłośniejszy sposób. My nie wiemy jak on się może zmiękczyć na widok dziecka; często milczenie czystej niewinności przekonywa, tam gdzie wymowa chybia.

Emilia.

Najgodniejsza pani, tak widoczną jest zacność twoja i dobroć, że twój śmiały zamiar nie może nie mieć pomyślnego

powodzenia; żadna na świecie osoba nie jest odpowiedniejszą od pani do tego zadania. Jeżeli pani raczy przejść do sąsiedniego pokoju, ja zaraz o twojej najszlachetniejszej propozycji zawiadomię królowę, która dziś właśnie kuła podobny projekt, ale nie śmiała nikomu powierzyć tak zaszczytnego posłannictwa, lękając się doznać odmowy.

Paulina.

Powiedz jój, Emilio, że użyję języka jaki mam: jeżeli tyle w nim będzie wymowy, ile śmiałości w mój piersi, nie ma wątpliwości że sprawię coś dobrego.

Emilia.

Niech już za to błogosławieństwo na ciebie spłynie. Ja pójdę do królowej; ty, pani, zostań tu blisko.

Dozorca (Do Pauliny).

Pani, jeżeli królowej spodoba się posłać dziecko, nie wiem na co się narażam, skoro je przypuszczę, nie mając pozwolenia.

Paulina.

Mój panie, nie masz się czego lękać. Dziecko już wprzód było jakby w więzieniu, a na mojej prawa i postępowania potężnej przyrody, zostało ztamtąd uwolnione i oswobodzone: nie ma udziału w gniewie królewskim, ani w winie matki, gdyby była jaka wina.

Dozorca.

Wierzę temu.

Paulina.

Nie lękaj się; honorem ręczę, stanę między tobą a niebezpieczeństwem.

Scena V.

Sala w pałacu królewskim.

Wchodzi *Leontes*, *Antygon*, panowie radni i dworzanie.

Leontes.

Ani w nocy, ani w dzień nie mam spoczynku. Tak znosić to wszystko, to słabość; tak, czysta słabość, gdyby nie to, że powód egzystuje. Część powodu, ona, cudzołożnica; co do tego króla łotra, ten jest poza moim ramieniem, poza metą

i pociskiem mojej zawziętości, bezpieczny od spisków: ale na nią mogę hak zarzucić. Mówię, że gdyby jej nie było, gdyby oddana była płomieniom, połowa mojego spoczynku możeby do mnie wróciła. Kto tam? (*Wchodzi dworzanin*).

Dworzanin.

Najjaśniejszy panie!

Leontes.

Jakże się chłopiec ma?

Dworzanin.

Dobrze spoczywał tej nocy, spodziewają się, że jego choroba skończyła się.

Leontes.

Patrzcie, jaki szlachetny! Zrozumiawszy hańbę swojej matki, natychmiast zachwiał się, pochylił, uczuł to głęboko; zwrócił ku sobie i wbił w siebie ten wstyd; stracił żywość, apetyt, sen, i wpadł w zniekanie. Zostaw mię samego; idź, zobacz jak mu jest. (*Dworzanin wychodzi*) Fe! fe! nie myślmy o tamtym. Myśl zemsty, którą zwracam w tamtą stronę, odbija się o mnie. Zanadto potężny sam przez się, przez swoje stanowisko, swoje przymierza; niech tak zostanie, póki czas nie usłuży. Teraźniejsza zemsta niech na nią spadnie. Kamillo i Polixen śmieją się ze mnie, rozrywkę sobie robią z mojej boleści: nie śmieliby się, gdybym mógł ich osiągnąć, ani ona nie będzie się śmiała, ta co jest pod moją władzą. (*Siada na tronie w zamyśleniu; pokazuje się Paulina z dzieckiem przy wejściu do sali*).

Jeden z dworzan.

Pani nie możesz wejść.

Paulina.

Nie, moi dobrzy panowie, raczej pomagajcie mi. Czy więcej dbacie o tyrańską jego namiętność, jak o życie królów? szlachetna, niewinna dusza, bardziej jeszcze czysta jak on zazdrosny.

Antygon (do Pauliny).

Dosyć tego.

Jeden z dworzan.

Pani, król nie spał tej nocy; rozkazał żeby się nikt do niego nie zbliżał.

Paulina.

Nie tak gorąco, dobry panie; przyszedłam po to, żeby mu sen przywrócić. Tacy to ludzie jak ty, co krążą jak cienie koło niego, i wzdychają przy każdym jego próżnym jęku, tacy to ludzie żywią w nim powody bezsenności. Ja przychodzę do niego ze słowami równie uzdrawiającemi, jak prawdziwemi i uczciwemi, żeby mu przeczyszczyć złe soki, co sen odganiają od niego.

Leontes.

Co za hałas tam?

Paulina.

Żadnego hałasu, najjaśniejszy panie, tylko rozmowa z potrzeby o przedmiotach, które dotyczą waszj królewskiej mości

Leontes.

Co? precz z tą zuchwałą panią. Antygonie, zleciłem ci żeby jój tu nie puszcząć; wiedziałem że przyjdzie.

Antygon.

Powiedziałem jój, panie, że pod zagrożeniem nieukontentowania waszj królewskiej mości i mojego, nie powinna stać przed tobą, panie.

Leontes.

Cóż? nie możesz jój powstrzymać?

Paulina.

Od nieuczciwych rzeczy, może. Ale tu (chyba, że postąpi jak wasza królewska mość i odda mię pod straż za to że strzegę cnoty) wierzaj mi, panie, nie ma władzy nademną.

Antygon.

A co? słyszycie panowie? jak na kiel wezmie, muszę jój popuścić cugli; już się chyba nie potknie.

Paulina.

Dobry mój władzco! przychodzę, — a błagam cię, wysłuchaj mnie, — mnie co się stawiam przed tobą jak wierna sługa, jak twój lekarz, jak najposłuszniejszy doradzca, a jednak mniéj się odważam wykazać się taką, nawet łagodząc twoje cierpienia, jak ci, co zdają się być najbardziej tobie oddani. Tak, panie, przychodzę od naszj dobrej królowj.

Leontes.

Dobréj królowj!

Paulina.

Dobréj królowój, panie mój, dobréj królowój! Tak, powtarzam, od dobréj królowój, i chciałabym walczyć w obronie jój cnoty, gdybym była mężczyzną, najlichszym z pomiędzy was.

Leontes.

Wyprowadźcie ją ztąd.

Paulina.

Niech ten kto nie dba o swoje oczy, pierwszy podniesie na mnie rękę. Z własnej woli pójdę sama, ale pierwój muszę spełnić moje zlecenie. Dobra królowa, bo pewnie że jest dobra powiła tobie, panie, córkę, — oto ona, — i poleca ją twojemu błogosławieństwu. (Sklada dziecko u nóg króla).

Leontes.

Precz! mężka czarownico. Precz ztąd, za drzwi! Doskonale wyćwiczona stręczycielka występku.

Paulina.

Wcale nie! Tak jestem nieświadoma tego, jak ty, panie, co mię tak mianujesz, i niemniej jestem uczciwą, jak ty, panie, jesteś szalony. Według tego, jak teraz idą rzeczy na świecie, wystarczy to, żeby uchodzić za uczciwą.

Leontes.

Zdrajcy! nie wypchniecie jój ztąd? Oddajcie jój tego podrzutka. (Do Antygona). Ty, niedołężny, tobą kobieta rządzi; pani kokosz tu ciebie przekrzyczy. Weź podrzutka, weź, mówię i oddaj go twojój babie.

Paulina.

Niech na zawsze zhańbione będą twoje ręce, jeżeli schylisz je po książniczkę, usłyszawszy te wyrodne bezecności jakimi obrzucił ją.

Leontes.

Boi się żony!

Paulina.

Chciałabym, panie, żebyś się swojój bał; wtedy, bezwąt-
pienia, swojemi byś nazwał swoje dzieci.

Leontes.

Gniazdo zdrajców!

Antygon.

Nie jestem takim; klnę się tem dobrem światłem?

Paulina.

Ani ja, ani nikt, tylko jeden, który tu jest, — a to, on sam. Bo to on zdradza świętą cześć własną, królowej swojej, syna pełnego nadziei, niemowlęcia tego, dla potwarzy, której żądło ostrzejsze od miecza. Nie chce, (a tak, jak rzeczy stoją, to nieszczęście, że go zmusić do tego nie można), — nie chce wyrwać z korzeniem mniemania tak zgniłego, jak zdrowym jest dąb lub kamień.

Leontes.

Sójka z niepowstrzymanym językiem, dopiero co męża pobiła, teraz na mnie napada! To piskłę nie moje, to potomstwo Polixena, precz z niem; razem z matką, niech idzie na ogień!

Paulina.

Twoje to, panie, dziecko: możnaby tu zastósować starą pogadankę: tak podobne, że aż brzydko! Patrzenie, panowie moi, chociaż to drobna miniaturka, cała to treść i kopia ojca: oczki, nosek, usteczka, zmarszczenie brwi, czoło, nawet zgięcie brody: ładne dołeczki na buzi, uśmiech, — a kształt i rysunek rączki, paznokci, paluszków. A ty, dobra przyrodo, coś ją utworzyła tak podobną do tego, który jój dał życie, — jeżeli do ciebie także należy ukształcenie jój umysłu, nie namieszaj do innych barw żółtej barwy zazdrości, żeby kiedy, tak jak jój ojciec, nie podejrzывała że jój dzieci nie są dziećmi jój męża.

Leontes.

Strzygo bezeczna! (Do Antygona) A ty, bałwanie, zasługiwałbyś na powieszenie, że nie umiesz wstrzymać jój języka.

Antygon.

Każ, panie, powiesić wszystkich mężów, którzy podobnego dzieła nie dokażą, a nie wiem, czy ci jeden poddany pozostanie.

Leontes.

Jeszcze raz, wyprowadźcie ją ztąd.

Paulina.

Niegodny, wyrodny mąż nie może inaczej postąpić.

Leontes.

Każę cię spalić.

Paulina.

Nie dbam o to. Ten jest heretyk, kto stos podpali, nie ten kto na nim spłonie! Nie chcę cię, panie, nazwać tyranem, ale tak okrutne postępowanie z królową, wtedy, kiedy na jęj obwinienie nic innego nie można przytoczyć, tylko bezrozumne przywidzenie, trąci poniekąd tyranstwem, i okryje cię, panie, w obec świata niesławą i zgorszeniem.

Leontes. (Do dworzan).

W imię zaprzysiężonej wierności, wyprowadźcie ją z téj komnaty. Gdybym był tyranem, gdzież by było jęj życie? Nie śmiałyby mię nazwać tyranem, gdybym był takim. Precz z nią! (Dworzanie zbliżają się do Pauliny).

Paulina.

Nie potrącajcie mię, proszę was; już wyjdę. Pilnuj tego niemowlęcia, panie; to twoje. Oby mu Jowisz zesłał lepszego ducha za przewodnika! (Do dworzan). Po co tę rękę? Wy, coście tacy czuli na jego szaleństwa, nie mu przez to dobrego nie zrobicie; nikt z was. Tak, tak, bądźcie zdrowi; już idziemy. (Wychodzi).

Leontes (Do Antygona).

To ty, zdrajco, naprowadziłeś żonę. Moje dziecko? Precz z niem! Ty, co masz takie miękkie serce dla tego dziecka, weź je i kaź je natychmiast w ogień wrzucić, aźby się spaliło; ty sam, nikt inny, tylko ty! Zabierz je zaraz; nim godzina upłynie, masz mi poświadczyć, że rzecz spełniona; masz mię o tem dowodnie przekonać, albo odbiorę ci życie i wszystko coś dotychczas nazywał swoim. Jeżeli odmawiasz, i wolisz doznać skutków mojego gniewu, powiedz, a ja własnymi rękami rozbiję czaszkę sromotnego płodu. Weź je, i dalej na ogień; bo to ty namówiłeś żonę.

Antygon.

Nie zrobiłem tego, panie. Ci panowie, moi szlachetni towarzysze, mogą łaskawie oczyścić mię z tego zarzutu.

Jeden z panów.

Możemy, najjaśniejszy panie. On wcale temu nie winien że Paulina tu przysła.

Leontes.

Wszyscy jesteście kłamcy!

Jeden z panów.

'Błagamy waszój królewskiej mości, racz nam lepiej za-
uwać. Zawsześmy ci wiernie służyli; błagamy cię, panie, racz
tak trzymać o nas. A na kolanach prosimy (jako nagrodę za
nasze dobre usługi przeszłe i przyszłe), żebyś raczył odmienić
zamiar, który, będąc tak strasznym, tak krwawym, musiałby
fatalne następstwa spowodzić. Wszyscy klękamy. (klękają).

Leontes.

Mam być piórkiem dla lada wiatru, co skądkolwiek dmu-
chnie? Mamże dożyć tego, żebym widział jak i ten nieprawy
odrzutek przykleknie i nazwie mię ojcem? Lepiej teraz je spa-
lić, jak potem przekląć! Ale niech już tak będzie, niech żyje!
Nie! i tak żyć nie będzie. (Do Antygona). Zbliż się, mości
panie. Ty, coś z twoją Małgosią biegła w sztuce babienia, tak
czule się wstawiałeś dla ochronienia życia tego nieprawego od-
rzutka, (bo, że nieprawe, to tak pewne, jak to, że masz siwą brodę)
powiedz, na co byś się naraził dla ocalenia tego bachora?

Antygon.

Na wszystko, najjaśniejszy panie, co tylko możność moja
zdołałaby przenieść, a uczciwość nakazać. A przynajmniej tyle
powiem, że oddam resztę krwi mojej dla ocalenia téj niewin-
nej istoty; zrobię wszystko co można.

Leontes.

Dobrze; to będzie możliwe. Przysięgnij na ten miecz, że
spełnisz mój rozkaz.

Antygon.

Spełnię, najjaśniejszy panie.

Leontes.

Słuchaj i spełnij to, (uważasz?), bo opuszczenie najmniej-
szego szczegółu w tem wszystkiem, pociągnie za sobą nie tylko
twoją śmierć, ale i twojej złoćzycznej żony, której temczasowo
przebaczamy. Rozkazujemy ci, jak jesteś naszym poddanym
i lennikiem, żebyś to nieprawne dziecko płci żeńskiej wziął
ztaąd, i żebyś je zaniósł w jakie miejsce oddalone i puste, poza
granicą naszych posiadłości, i tam żebyś je zostawił, bez ża-
dnej litości, własnej opiece, na łasce losu i natury. Gdy szcze-
gólnym wypadkiem do nas się to dziecko dostało, poruczamy
ci tedy, według sprawiedliwości, pod niebezpieczeństwem zba-
wienia i groźbą cielesnej katuszy, żebyś je równie szczególnym

sposobem porzucił w jakim miejscu, gdzie by je los albo wychował, albo zniszczył. Zabierz je.

Antygon.

Przysięgam, że to zrobię, chociaż ciós doraźny byłby może litościwszym. Chodź, biedne niemowlę. Oby duch jaki potężny nauczył jastrzębie i kruki, żeby byli twojemi żywicielami! Powiadają że niedźwiedzie i wilcy, zapominając o swojej dzikości, spełniali czasem obowiązek miłosierdzia. Panie, niech ci się lepiej szczęści, niż zasłużyłeś tym czynem; a błogostawieństwo niech walczy po twojej stronie przeciwko okrucieństwu, biedne stworzenie na zgubę skazane! (Wychodzi z dzieckiem).

Leontes.

Nie; nie będę wychowywał cudzego potomstwa.

Posłaniec (Wchodzi)

Pozwól, najjaśniejszy panie, donieść ci, że posłowie wyprowadzeni po wyrocznię wrócili przed godziną. Kleomen i Dion szczęśliwie przybyli z Delf, wylądowali i pośpiesznie zbliżają się do dworu.

Jeden z panów.

Tak, najjaśniejszy królu, ich pośpiech przewyższył wszelkie oczekiwanie.

Leontes.

Dwadzieścia trzy dni byli w drodze. Dobrze się sprawili. To zapowiada, że wielki Apollo chce, żeby prawda w tej sprawie jak najrychlej się wykazała. Przygotujcie się panowie, zwołajcie zgromadzenie, żebyśmy mogli pozwać naszą niewierną małżonkę: bo, skorośmy ją publicznie obwinili, chcemy żeby się odbył sprawiedliwy i jawny sąd. Póki ona żyje, serce moje będzie dla mnie ciężarem. Zostawcie mnie i pamiętajcie o mojem poleceniu. (Wychodzą po kilku).....

Scena VI.

Na wybrzeżu Sycylii przed domem zajezdny.

(Wchodzi Kleomen, Dion i służba).

Kleomen.

Klimat przyjemny, powietrze bardzo łagodne, wyspa urodzajna; świątynia przewyższa wspaniałością zwyczajne pochwały jakie jej oddają.

Dion.

Szczególnego wspomnienia godne, bo to mię najbardziej uderzyło, niebiańskie osłony (zdaje mi się że tak powinienem je nazwać) i postać poważnych kapłanów, wzbudzająca uszanowanie. A obrzędy, jakże wspaniałe, uroczyste i nadziemskie, zwłaszcza w czasie ofiary!

Kleomen.

Ale nadewszystko, wybuch i ogłuszający odgłos wyroczni podobny do grzmotu jowiszowego, tak zmysły moje zadziwił, że czułem się niezem.

Dion.

Jeżeli skutek naszej podróży okaże się tak pomyślnym dla królowej (oby był takim!) jak dla nas podróż była czarującą, rozkoszną i szybką, to czas na to użyty nie był stracony, i trud dobrze się wynagrodził.

Kleomen.

Oby wielki Apollo obrócił wszystko na dobre! Te ogłoszenia, które przesadnemi zarzutami obciążają Hermionę nie bardzo mi się podobają.

Dion.

Gwałtowność z jaką się to prowadzi, albo oczyści, albo zakończy tę sprawę. Skoro odpowiedź wyroczni, pod pieczęcią przez wielkiego kapłana apollinowego udzielona, wypowie swoją treść, wtedy dopiero osobliwe zaprawdę rzeczy dojdą do wiadomości powszechniej. Dalej! niech nam tu konie zaprzęgna, a wypadek oby był pomyślnym! (Wychodzą).

Scena VII.

Sala sądowa w pałacu królewskim.

Leontes, panowie i urzędnicy siedzą na swoich miejscach.

Leontes.

To posiedzenie sądowe, które z wielkim smutkiem zagram, zadaje cios naszemu sercu. Strona powołana jest córka królewska, żona naszą, przez nas za nadto ukochaną. Chcemy być zwolnionemi od zarzutu tyraństwa, skoro tak jawne wywołujemy postępowanie sądowe, które będzie miało swój bieg należny, czy to doprowadzi do uznania winy, czy do oczyszczenia od zarzutów. Wprowadźcie uwięzioną.

Urzędnik.

Wola jest najjaśniejszego króla, ażeby królowa osobiście stanęła przed sądem. Uciszcie się panowie!

(Hermiona wprowadzona pod strażą, Paulina i inne kobiety z orszaku królowej).

Leontes.

Przeczytać akt oskarżenia.

Urzędnik. (Czyta).

„Hermiono, małżonko zacnego Leonta, króla Sycylii, je-
„steś tu pozwana i oskarżoną o zdradę państwa, mianowicie
„o występny stosunek z Polixenem, królem Bohemii, i o spi-
„sek z Kamillem. w celu wydarcia życia najjaśniejszemu kró-
„lowi nam panującemu a twojemu małżonkowi. A gdy istnienie
„takowego spisku w części ze zbiegu okoliczności zostało wy-
„krytem, ty, Hermiono, sprzecznie z obowiązkiem i przysięgą
„wiernój poddanėj, radą i pomocą skłoniłaś ich, dla ich bez-
„pieczeństwa, do nocnej ucieczki“.

Hermiona.

Ponieważ to, co mam powiedzieć, niczem innem być nie może, tylko zaprzeczeniem oskarżenia, a świadectwa żadnego innego na moją stronę nie mogę powołać, tylko to, co odemnie samój pochodzi, wiem przeto, że nie wiele mi pomoże oświadczenie, że jestem niewinną: bo skoro sądzą że cześć moja jest fałszywą, to i oświadczenie moje tak samo będzie uważane. Ale tak powiem: jeżeli boska potęga widzi nasze ludzkie czyny, jak jest w rzeczy samój, nie wątpię, że niewinność zawstydzi nakoniec potwarcze oskarżenie, a prześladowanie zadrży przed cierpliwością. (Do Leonta) Najjaśniejszy panie, ty wiesz najlepiej, ty, co zdajesz się nic nie wiedzieć, że moje życie przeszłe było tak nieposzlakowane, czyste, wierne, jak teraz jest nieszczęśliwe; a takie jest teraz, że większego nieszczęścia historia nie podaje, choćby ją ubarwić i dramatycznie przedstawić dla wzruszenia widzów. Bo, patrzcież! towarzyszka królewskiego łoża, uczestniczka tronu, córka wielkiego króla, matka księcia tyle obiecującego, stoję tu i mam dowodzić, mam rozprawiać w obronę mojego życia i honoru, przed każdym, komu spodoba się przyjść i słuchać. Co do życia, tyle je cenię, ile waży cierpienie, którego rada bym się pozbyć, ale cześć, jestto przekaz, co przechodzi odemnie do moich, i tój

tylko tu bronię. Odwołuję się do twego własnego sumienia, panie; zanim Polixen przybył do twego domu, w jakich łaskach byłam u ciebie, i jak na to zasługiwałam? Odkąd przybył, w jakież tak niestosowne popadłem zawikłania, żeby aż tu stanąć? Jeżeli choć o jedną jotę przekroczyłam szranki honoru, albo myślą, albo czynem skłoniłam się ku temu, niech skamienieją dla mnie serca wszystkich tych, którzy mię słyszą, niech najbliższy z mojego rodu wyrzeknie słowo hańby nad moim grobem.

Leontes.

Nigdy też nie mniemał i nie słyszał, żeby zuchwały występek mniejszą odznaczał się bezczelnością w wypieraniu się swoich czynów, jak w popelnianiu takowych.

Hermiona.

Prawdziwa to uwaga; ale taka, panie, która do mnie się nie stosuje.

Leontes.

Nie chcesz jój przyjąć.

Hermiona.

Z tego co składają na mnie tytułem winy, weale nie powinienam przyjmując więcej, tylko tyle, ile do mnie należy. Co do Polixena, (współ zemną obwinionego), wyznaję, tak go kochałam, jak uczciwie mógł tego wymagać; taką miłością, jaką przystała osobie mojego stanowiska; taką właśnie miłością, a nie inną, jaką mi sam nakazałeś. Nie okazać jój, byłoby, jak myślę, oznaką nieposłuszeństwa i niewdzięczności względem ciebie, panie i względem twojego przyjaciela, którego skłonność wyraziła się, odkąd tylko przemówić mogła, od dziecka, z zupełną ku tobie przychylnością. Co do spisku, nie wiem jaki ma smak; chociaż tę potrawą dla mnie sporządzono żebym jój skosztowała. To tylko wiem, że Kamillo był uczciwym człowiekiem, a dla czego potajemnie dwór twój opuścił, to i dla bogów jest tajemnicą, jeżeli tyle tylko wiedzą, ile ja.

Leontes.

Wiedziałaś o jego wyjeździe, tak samo jak wiedziałaś co miałaś przedsięwziąć w jego nieobecności.

Hermiona.

Panie, mówisz językiem dla mnie niezrozumiałym. Życie moje jest na łasce twoich przywidzeń i złożę je kiedy potrzeba.

Leontes.

Twoje czyny są mojem przywidzeniem. Wydałeś na świat nieprawe dziecko, którego ojcem jest Polixen, i to ma być mojem przywidzeniem! Wzgardziwszy wstydem, (jak podobne tobie istoty), nie dziwnego że mijasz się z prawdą. Zaprzeczasz, bo tak ci wypada, ale nie to nie pomoże; bo tak jak twoje dziecko; sobie samemu zostawione, musiało być porzucone, skoro nie miało ojca, który by je przyznał (co, za prawdę, raczej twoją jest zbrodnią, jak dziecka winą), tak samo i ty doznasz naszej sprawiedliwości, której wyrazem najlżejszym nie oczekuj żeby co innego być mogło jak śmierć.

Hermiona.

Panie, możesz mi oszczędzić grózb. Straszdyło, którem mię chcesz przerazić, pożądanem jest dla mnie. Dla mnie życie nie jest żadnem dobrodziejstwem. Łaskę twoją, co była koroną i pociechą mojego życia, mam za straconą niepowrotnie; czuję że znikła; jak się to stało, nie wiem. Druga radość moja, pierworodne dziecko, widzieć go nie mogę; odgradzono go ode mnie, jakby od zapowietrzonej. Trzecia pociecha moja, pod najnieszczęśliwszą gwiazdą urodzona, od moich piersi, z niewinnem mlekiem na niewinnych usteczkach, oderwana, po to, żeby ją zamordować. Ja sama, po wszystkich rynkach za nieładnicę ogłoszona. Z niepomiarowaną zawziętością odmawiają mi nawet przywilejów, które kobietom wszelkiego stanu należą się. Nakoniec, tu jestem sprowadzona, wystawiona na publiczny widok, zanim jeszcze siły odzyskać mogłam. Powiedzże teraz, najjaśniejszy panie, jakież mię mogą czekać w życiu radości, dla których miałabym się śmierci obawiać? Postępuj więc dalej, jak zaczęłeś, ale posłuchaj co mam jeszcze powiedzieć. Nie bądź w błędzie co do mnie: nie chcę życia; nie warto dla mnie tyle, co żdźbło słomy; ale co do mojej czci, którą chcę zachować nieskażoną, — jeżeli mam być potępioną na proste domysły, w zupełnym braku dowodów, prócz tych, jakie zazdrość twoja wznieca, zapowiadam, nie będzie to sprawiedliwością, ale bezprawiem. Panowie, wszyscy tu obecni, odwołuję się do wyroczni. Niech Apollo będzie moim sędzią.

Jeden z panów.

Żądanie twoje, pani, jest zupełnie słuszne. A zatem, w imieniu Apollina, niech słowa jego wyroczni będą tu odniesione. (Kilku urzędników odchodzi).

Hermiona.

Władca Rusi był moim ojcem. O! czemuż on nie żyje, żeby mógł widzieć sąd nad jego córką. Oby mógł widzieć przynajmniej przepaść mojej nędzy, ale oczami litości, nie zemsty.

(Urzędnicy wracają, z nimi Dion i Kleomen).

Urzędnik (trzymając pismo w ręku).

Złożycie tu przysięgę na ten miecz sprawiedliwości, Kleomenie i Dionie, żeście byli obaj w Delfach, że stamtąd przynieśliście to pismo zapieczętowane, zawierające słowa wyroczni oddane wam przez wielkiego kapłana Apollina, i że aż dotąd nieośmieliliście się rozłamać pieczęci dla wyczytania zawartej w niem tajemnicy.

Kleomen i Dion.

Przysięgamy.

Leontes.

Rozłamać pieczęć i czytać.

Urzędnik (czyta):

„Hermiona jest niepokalana, Polixen bez zarzutu, Kamillo wiernym poddanym, Leontes zazdrosnym tyranem, nie-
winne jego dziecko w prawym związku zrodzone, a król będzie bez potomstwa, jeżeli to, które zgubiono, nie odszuka się.

Jeden z panów.

Dzięki wielkiemu Apollinowi!

Hermiona.

Chwała mu!

Leontes.

Czyś czytał zgodnie z prawdą?

Urzędnik.

Najjaśniejszy panie, zupełnie tak jak tu stoi.

Leontes.

Nie ma żadnej prawdy w tej wyroczni; sąd ma się dać odbywać; wszystko to jest fałsz.

Dworzanin (wchodzi).

Najjaśniejszy królu, królu mój!

Leontes.

Co się stało?

Dworzanin.

O! panie, przeklniesz mię za to co oznajmiam. Książę syn twój, na samą myśl i obawę o los królowej, zszedł.

Leontes.

Jakto, zszedł?

Urzędnik.

Umarł!

Leontes.

Apollo jest zagniewany; same niebiosy karzą moją niesprawiedliwość. — Cóż to znowu?

(Hermiona pada bez przytomności).

Paulina.

Ta wiadomość była śmiertelną dla królowej. Patrzcie teraz, i zobaczcie co śmierć robi!

Leontes.

Unieście ją ztąd! To raptowne przepełnienie serca, ale ona odzyska przytomność. Za nadto zautalem moim podejrzeniem. Zaklinam was „użyjcie najczulszych starań, żeby ją przywrócić do życia! (Paulina i panie unoszą Hermionę). Apollo, przebacz bluźniercze nieuszanowanie twojej wyroczni! Pogodzę się z Polixenem, nową miłość ślubować będę królowej, przywołam dobrego Kamilla, którego ogłaszam tu człowiekiem czei i miłosierdzia. Bo, pobudzony przez zazdrość do krwawych myśli i do zemsty, wybrałem był Kamilla za narzędzie do otrucia przyjaciela mojego, Polixena, to byłoby się spełniło, gdyby dobre sere Kamilla nie odwróciło skutków mojego gwałtownego rozkazu, chociaż ja za niedopełnienie lub też spełnienie tego czynu, naprzemian, to śmiercią mu groziłem, to nagrodę obiecywałem. On jednak, pełen ludzkości i honoru, odkrył mój zamiar królewskiemu gościowi, porzucił wiadome wam stanowisko jakie tu zajmował, porzucił znaczne mienie, i puścił się na widoczne niebezpieczeństwo niepewnego losu, bogaty tylko czią swoją. Jakże on jaśnieje obok mojej ciemnej rdzy; jakże jego zacość zwiększa czarną ohydę moich czynów! (Wchodzi Paulina).

Paulina.

Nieszczęsna chwilo! O przetnijcie mi sznurówkę, bo mi ją serce rozerwie, jak pęknie z żalu.

Jeden z panów.

Cóż to za przypadek, kochana pani?

Paulina.

Jakie masz dla mnie najwymyślniejsze męczarnie, tyranie? Jakie koła? jakie pale? jakie stosy? jakie pręgierze? roztopiony ołów? olej wrzący? jakie stare lub nowe katusze mam wytrzymać, kiedy każde słowo jak powiem, zrównoważy próbę najgorszych twoich męczarni? Twoje tyranstwo sprzęgnięte z twoją zazdrością, to wymysły za słabe dla przestraszenia chłopców, niedojrzałe i puste dla dziewięcioletnich dziecwczynek. O! pomyśl co z tego wynikło, a wtedy zostań waryatem, szalonym waryatem, bo wszystkie twoje poprzednie szaleństwa były tylko zarodkiem tego co się stało. Żeś zdradził Polixena, to nie; pokazałeś się tylko nedorzecznym, niestałym i szkaradnie niewdzięcznym. I to nie wiele znaczy, żeś chciał zatrześć cześć dobrego Kamilla, namawiając go do królobójstwa.. Nędzne grzechy obok daleko potworniejszych! W porównaniu, liczę to za nie, lub za mało, żeś rzucił krókom na pożarcie twoje niemowlątko, córeczkę własną, chociaż szatan łyzy by wycisnął z płomienia, nim by to zrobił. Ani też wprost na ciebie nie spada śmierć młodego księcia którego szlachetne uczucia (tak wzniosłe w tak młodym wieku) śmiertelnie przebodły mu serce, skoro pojął że dziki i nierozsądny ojciec hańbi dostojną jego matkę: nie; nie to spada na twoją odpowiedzialność. Ale to ostatnie! O! panowie, jak to powiem, wykrzyknijcie: biada! Królowa, królowa, najśłodsza, najmiłsza istota umarła: a zemsta za to jeszcze tu nie spadła!

Jeden z panów.

Niech potęgi najwyższe obronią!

Paulina.

Mówię że umarła; przysięgnę: jeżeli słowa i przysięgi nie przekonają, pójďte i zobaczcie. Jeżeli możecie przywrócić zabarwienie ust, blask oczu, ciepło zewnątrz, oddech z wewnątrz, służyć wam będę, jakbym bogom służyła. Ale ty, tyranie, nie żałuj tych strat, bo są tak ciężkie, że ich największe żale nie usuną: więc oddaj się tylko rozpacz! Tysiąc kolan zgiętych przez dziesięć tysięcy lat, w obnażeniu, w poście, na gołej górze, wśród zimy i wieczorniej burzy, nie zdoła skłonić bogów by spojrzeli w tę stronę gdzie jesteś.

Leontes.

Mów, mów, nie możesz mówić za wiele; zasłużyłem ze wszystkich ust na wyrzuty największą goryczą zaprawne.

Jeden z panów.

Przestań, pani. Jakkolwiek się stało, zawiniłaś zbyt dużą śmiałością twojej mowy.

Paulina.

Żałuję tego. Za wszystkie błędy moje, jak tylko je poznaję, szczerzy żal okazać pragnę. Niestety! zanadto uniosłam się popędlivością kobiecą: dotknięty jest w szlachetnej części serca. Co się stało, i czemu zaradzić nie można, nie powinno już dotyczyć zbyt wielką boleścią. Nie smuć się, panie, z powodu mojej mowy, błagam cię. Raczej ukarż mię za to, że ci to przypomniałam, o czym powinienbyś zapomnieć. Teraz, dobry mój władzco, najjaśniejszy królu, wybac szalonej kobiecie miłość, jaką byłam przejęta dla swojej królowej. Ach! szalona znowu! Nie będę więcej mówiła o niej, ani o twoich dzieciach nie będę ci więcej wspominała, ani o moim mężu, który także zgubiony. Uzbrój się, panie, w cierpliwość, a ja nic więcej nie powiem.

Leontes.

Aż nadto dobrze mówiłaś, mówiąc prawdę; chętniej ją przyjmuję, jak twoją litość. Proszę cię, zaprowadź mię do martwych zwłok mojej żony i mojego syna; oboje w jednym grobie będą złożeni. A na ich grobowcu wyjawione będą powody ich śmierci na moją wieczną hańbę. Codzień zwiedzać będę kaplicę w której będą spoczywali, a łzy tam wylane będą moją rozrywką. Póki tylko przyrodzony bieg życia da mi wytrwać w tem zajęciu, ślubuję spełniać je. Chodź, prowadź mię do tych smutków.

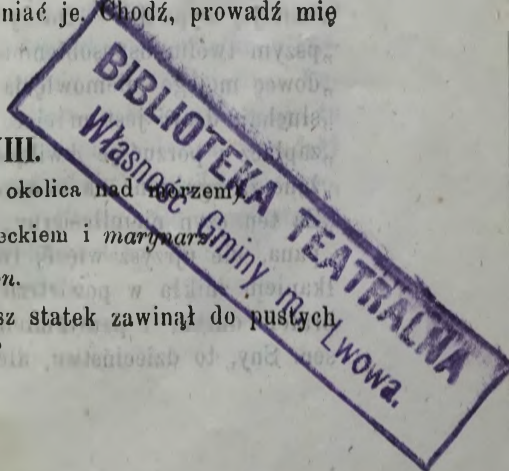
Scena VIII.

(Wybrzeże Bohemii. Pusta okolica nad morzem.)

Wchodzi *Antygon* z dzieckiem i *margarytą*.

Antygon.

A więc, jesteś pewny że nasz statek zawinął do pustych wybrzeży należących do Bohemii?



Marynarz.

Tak panie, i boję się, czyśmy nie wylądowali w złą chwilę. Chmury groźnie wyglądają, i wróżą nadchodzącą burzę. Na moją duszę, nieba srożą się na nas za to, co mamy spełnić, i gniewnie na nas patrzą.

Antygon.

Ich święta wola niech się stanie! Idź wracaj na brzeg, pilnuj statku: niedługo wrócę do ciebie.

Marynarz.

Pospiesz się, panie, ile możesz i nie zapuszczaj się daleko w głąb kraju; zdaje się że będziemy mieli ciężką nie pogodę! a przytém, to miejsce znane jest z obfitości drapieżnych zwierząt, które tu przebywają.

Antygon.

Idź, za chwilę pójde za tobą.

Marynarz.

Rad jestem z głębi serca żem się pozbył téj sprawy.

Antygon.

Chodź biedne dziecko! słyszałem choć temu nie wierzyłem, że duchy zmarłych mogą wracać na ziemię; jeżeli to prawda, twoja matka ukazała mi się przeszłej nocy; bo nigdy sen nie był tak podobnym do tego, co bywa na jawie. Przychodzi do mnie jakaś istota, pochyla głowę to na jedną stronę, to na drugą: nigdy nie widział naczynia smutku tak pełnego wdzięku! W czystych białych sukniach jak sama świętość, zbliżyła się do kajuty, gdzie leżał, trzy razy pokłoniła mi się, otwierając usta, jakby chciała mówić: jój oczy stały się dwoma strumieniami, a jak się ten gwałtowny wybuch uspokoił, te słowa z ust jej wypadły: „Dobry Antygonie, skoro los, wbrew lepszemu twoim usposobieniom, twoją osobę wybrał na przesładowcę mojego niemowlęcia, stosownie do twojej przysięgi, „słuchaj, dosyć jest miejsc oddalonych w Bohemii, tam więc, „zapłac i porzuć je kwilące: a ponieważ niemowlę jest uważane za zgubione na zawsze, proszę cię nazwij je Perdita. „Za ten czyn niemilosierny, nałożony na ciebie przez mojego „pana, nie ujrzysz więcéj twojéj żony Pauliny.“ A wtedy ze łkanem znikła w powietrzu. Przestraszony bardzo powoli zebrałem ducha, i pomyślałem że tak było istotnie, że to nie sen. Sny, to dzieciństwo, ale na ten jeden raz, przesądnie go-

tów jestem poddać się temu. Wierzę że Hermiona poniosła śmierć, i że Apollo chce, jeżeli to jest potomstwo Polixena żeby dziecko było złożone, na śmierć lub życie, na ziemi, jego prawdziwego ojca. (Składa dziecko na ziemię z zawiniątkiem i workiem złota) Kwiatku, obyś się rozwinął! Spocznij tu, oto znak po którym cię poznać można, — i to jeszcze. Można cię za to wychować, jeżeli się losowi spodoba, śliczne dziecko, i jeszcze zostanie. Burza się zaczyna. Biedne niebożátko coś za winę matki tak porzucone na zgubę i wszystko co może wypaść. Płakać nie mogę, ale krwawi się serce moje. Jakież to przekleństwo, żem się przysięgał do tego zobowiązał! Żegnaj cię. Dzień zaciemnia się cořaz bardziej; zdaje się że zbyt szorstką będziesz miała kołyskę; nigdy nie widział, żeby w dzień niebo tak było zachmurzone! Jaki ryk dziki! Obym dopadł szczęśliwie statku! Otóż i pogoń za mną! Zginałem! (Ucieka ścigany przez niedźwiedzia).

(Wchodzi stary pasterz).

Pasterz.

Chciałbym żeby nie było wieku pośredniego między dzieściami a dwudziestu trzema laty, albo żeby młodzież cały ten czas przespała: bo w tym przedziale nic się innego nie robi tylko się dziewczęta bałamuci, uraga się starszym, kradnie, bije się. (Słychać ryk i grzmoty). Słyszycie teraz! Któż inny, jak te postrzelone głowy, mające po lat dziewiętnaście lub dwadzieścia trzy, pomyślałby, wśród takiej burzy o polowaniu. Zapędzili mi dwie najlepsze owce, które, lękam się tego, prędjiej wilk znajdzie niż gospodarz; jeżeli je gdzie zobaczę to chyba na brzegu morskim, gdzie bluszczy z głodu gryzą. I to dobrze jeżeli taka wola losu! Ale cóż tu mamy? (Podnosi dziecko). Niemowlátko, ładniutkie niemowlátko. Chłopiec czy dziewczeczka? Śliczna, doprawdy śliczna dziecina. Pewnie jakaś intryga. Chociaż nie jestem piśmienny, mogę tu wyczytać na pewno jakąś intrygę z pańskiego dworu. Schadzki na schodach, w garderobie, w przedpokoju. Ciepłej im było, jak temu niewiniątku. Wezmę je z litości, ale zaczekam aż mój syn wróci. Usłyszałem jego wołanie. Oho! ho! ho!

Gawel (Wchodzi)

Holla! la!

Pasterz.

Co? tak blisko byłeś? Jeżeli chcesz widzieć coś takiego o czem będzie do mówienia i wtedy jak już będziesz w ziemi i spróchniejesz, to chodź tu. Co tobie jest człowieku?

Gawel.

Takie widziałem dwie rzeczy na morzu i na lądzie! Ale źle mówię że na morzu, bo już nie ma morza, tylko niebo wzburzone: między morzem a niebem nie weśniesz końca igły.

Pasterz.

No, cóż, chłopcze, co to takiego?

Gawel.

Chciałbym żebyście widzieli jak burza huczy, jak się wścieka, jak bije o brzeg. Ale nie o to idzie. Ach! ten krzyk przeraźliwy biednych ludzi! Czasem ich widać, to znów nie widać; to zdaje się, że okręt przedziurawi księżyc wielkim masztem, to znowu polyka go fala i piana, jak gdyby kto rzucił korek do balii. A teraz znowu z lądową służbą co się dzieje! Patrzeć na to, jak mu niedźwiedź ramię szarpał, jak wołał na mnie o pomoc, mówiąc, że mu na imie Antygon, że jest dworskim panem. Ale żeby już raz skończyć z tym okrętem: trzeba było widzieć jak go morze pożarło. Ale najprzód, jak biedne ludziska ryczały, a morze się z nich śmiało; a potem, jak biedny szlachcic ryczał, a niedźwiedź śmiał się z niego, a ryczeli oboje głośniej, jak morze i burza.

Pasterz.

Zmiłuj się, kiedy to było, chłopcze?

Gawel.

Teraz, teraz, ledwiem mrugnął, odkąd widziałem te rzeczy; ludzie nie ostygli jeszcze pod wodą, a niedźwiedź i do połowy nie zjadł szlachcica; jeszcze nie!

Pasterz.

Szkoda że mnie tam nie było; to bym ratował starego

Gawel (na stronie).

Chciałbym też żebyś się był dostał na brzeg okrętu dla poratowania ich! Tam by się twoja litość potknęła.

Pasterz.

Przykre to rzeczy! przykre rzeczy! Ale patrz no tutaj chłopcze! Teraz, przeżegnaj się! Ty spotykasz umierających, a ja nowonarodzonych. Oto masz na co popatrzeć! Pieluszki jak

na szlacheckie dziecko. Patrz no tu! (Podnosi worek) Weź to! weź to, chłopcze i otwórz. Zobaczmy, mówiono mi, że mię wróżyłki z bogacą. To jakieś zamienione dziecko. — Otwórz no; co tam jest we środku, chłopcze?

Gawel (wyciąga garść złota).

Szczęści wam się, ojcze. Żeby tylko grzechy młodości były odpuszczone, to by można dobrze żyć. Złoto! samo złoto!

Pasterz.

To złoto czarodziejskie, chłopcze; przekonamy się o tem. Zabierz to i dobrze zamknij. Do domu, do domu, najbliższą drogą. Wiedzie nam się chłopcze; a chcąc żeby się nadal wiodło potrzeba tylko sekret zachować. Niech sobie owce same idą. Idź mój synu, najbliższą drogą do domu.

Gawel.

Idźcie wy najbliższą drogą z tem coście znaleźli, a ja pójdę zobaczyć, czy niedźwiedź odszedł od szlacheica, i ile go zjadł. Niedźwiedzie póty tylko złe, póki głodne: jeżeli zostały jakie szczątki to je pogrzebię.

Pasterz.

To dobry uczynek. Jeżeli z resztek możesz poznać kto on był, to zaprowadź mię, żebym zobaczył.

Gawel.

Pewnie że tak; a pomożecie mi pogrzebać go w ziemi.

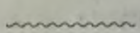
Pasterz.

Dobry to dzień dla nas, chłopcze; trzeba też coś dobrego zrobić. (Wychodzą).

(*Koniec pierwszej części.*)

ORÓŻY

CZEŚĆ DRUGA.



OSOBY.

LEONTES, król Sycylii (46 lat)

POLIXEN, król Bohemii (46 lat)

FLORYCEL, syn Polixena (24 lat)

KAMILLO (52 lat)

KLEOMEN

DYON

STARY pasterz (76 lat)

GAWEL syn jego (36 lat)

AUTOLIK, kuglarz jarmarczny

HERMIONA, (40 lat)

PERDITA (16 lat)

PAULINA (44 lat)

MOPSA |

DORKAS | } pasterki

PANOWIE Sycyliscy

DWORZANIE

PASTERZE

PASTERKI

Scena IX, X, XI w Bohemii, XII, XIII, XIV w Sycylii.

PROLOG.

~~~~~

CZAS, postać allegoryczna.

Ja, co wszystkich doświadczam, a nie wielu sprzyjam,  
Co dobrych cieszę, straszę złych, co błąd rozwijam  
I niszczę, dziś zamierzam, pod Czasu imieniem,  
Użyć skrzydeł. Nie zwijcie tego przewinieniem,  
Że szybkim lotem przemknę ponad lat szesnaście,  
Niezbadane mijając téj przerwy przepaście, —  
Skoro w mojej jest mocy stare prawa zmienić,  
W danéj chwili wszcząć zwyczaj, lub go wykorzenić.  
Niech więc przejdę, jak byłem, zanim terazniejszy  
Nastał porządek rzeczy, lub nawet dawniejszy.  
Jak świadczyłem o rzeczach w czasie ich poczęcia,  
Tak świadczyć o nich będę w dobie rozwinięcia,  
I złagodzę migotny blask téj świeższej treści,  
Co odbijać się będzie w ramach méj powieści.  
Gdy zgadzacie się na to, klepsydrę odwracam,  
I sceny mojej rozwój w taki sposób skracam,  
Jak gdyby we śnie minął. Leontes w téj dobie  
Rzucił szaloną zazdrość i zamknął się w sobie,  
Przejęty żalem, smutny i osamotniony.  
A teraz myślą w pięknej Bohemii strony  
Przenieśmy się, iiedzmy, gdy pamięć nie myli,  
Że Polixen miał syna, którego w téj chwili  
Florycelem mianuję. Równie szybkim krokiem  
Dążąc, Perdytę wspomnę, co wdzięków urokiem  
Obudza podziwienie. Co dalej się wszczęło,  
Tego nie prorokuję. Niechaj Czasu dzieło

W wypadkach się ujawni. Tu tylko nadmienię,  
 Że los córki pasterza i jój spokrewnienie  
 Będzie treścią téj sztuki. Nie pożatujecie,  
 Bo nieraz gorzej czasu użyliście w świecie;  
 A choćby nie, to życzę serdecznie w téj chwili,  
 Byście go nadal gorzej nigdy nie użyli.

## AKT IV.

### Scena XI.

Bohemia. Pałac królewski.

Wehodzą (*Polixen i Kamillo*).

*Polixen.*

Proszę cię, dobry Kamillo, nie nalegaj więcej; boli mię to, gdy muszę ci cokolwiek odmówić; śmiercią byłoby dla mnie przystać na twoje żądanie.

*Kamillo.*

Już piętnaście lat mija, jak nie widziałem mojej ojczyzny; chociaż przez tak znaczny przeciąg czasu oddychałem zagranicznym powietrzem, chciałbym kości złożyć w moim kraju. A nadto, pokutujący król, mój pan, wezwał mię; mogę mu przynieść jaką ulgę w cierpieniach, tak przynajmniej sobie po-chlebiam, i to jest nowym dla mnie bodźcem do wyjazdu.

*Polixen.*

Jak mię kochasz, Kamillo, nie zacieraj wartości usług, któreś mi wyświadczył, opuszczając mię teraz. Twoja to własna dobroć sprawiła, że tak ciebie potrzebuję; lepiej byłoby nie mieć cię wcale, niż żeby mi ciebie zabrakło. Rozpocząwszy ważne sprawy, których nikt bez ciebie nie zdoła dobrze poprowadzić, powinienbyś albo zostać, żebyś sam mógł je wykonać, albo zabrać z sobą zasługę tego, coś już zrobił. Jeżeli może za mało usługi twoje cenił (bo przesadzić w tem niepodobna), okazać ci większą wdzięczność będzie mojem staniem, a korzyścią pomnożenie naszej przyjaźni. O téj fatal-



nej sycylijskiej krainie, proszę cię, nie mów więcej. Sama wzmianka o niej dotyka mię boleśnie przypomnieniem żalującego, jak mówisz, i nawróconego króla, brata mojego, tudzież oplakanęj, jakby świeżej dotychczas straty wielbionęj jego małżonki i dzieci. Powiedz mi, jak dawno widziałeś księcia Florycela, syna mojego? Nie mniej są nieszczęśliwi królowie kiedy ich potomstwo nie ma odpowiednich zalet, jak wtedy, kiedy tracą dzieci odznaczające się pięknymi przymiotami.

*Kamillo.*

Panie, już od trzech dni nie widziałem księcia. Jakie mogą być jego najmilsze zajęcia, rzeczą jest dla mnie niewiadomą, ale z żalem zauważałem, że od niedawnego czasu bardzo się usuwa od dworu, i nie tak pilnie, jak to wprzód bywało, oddaje się książęcym ćwiczeniom.

*Polixen.*

Bardzo to zauważyłem, Kamillo, i nie bez troski; do tego stopnia, że mam na moje usługi oczy, które śledzą za jego odosobnieniem. Od tych mam taką wiadomość, że rzadko jest gdzie indziej, jak w domu najprostszego pasterza; człowieka, jak mówią, który z niczego, i w sposób zagadkowy dla sąsiadów, doszedł do niepojętej zamożności.

*Kamillo.*

Słyszałem, panie, o tym człowieku, który ma córkę najrzadszych zalet: rozgłos o niej rozszerzył się bardziej, niżby można przypuścić, że się może rozejść z wiejskiej chaty.

*Polixen.*

To samo stwierdzają moje wiadomości. Ale lękam się wędkę, która tam wabi mojego syna. Będiesz mi towarzyszył na miejsce; nie pokazując kim jesteśmy, zadamy kilka pytań pasterzowi; po jego prostocie, mniemam, że nie trudno nam będzie dobrać się powodów ciągłego tam pobytu mojego syna. Proszę cię, bądź teraz moim przewodnikiem w tej sprawie i odłóż myśl o Sycylii.

*Kamillo.*

Chętnie, panie, posłucham twojego rozkazu.

*Polixen.*

Pocziwy mój Kamillo! Teraz, musimy pójść przebrać się (wychodzą).

## Scena X.

Bohemia. Okolica sielska.

(Wchodzi *Autolik* śpiewając).*Autolik.*

Kiedy złotogłów \*) rozkwitać zaczyna,

(A co? najmilsza pora roku wróci),

Wtedy na łąkę wychodzi dziewczyna,

Błądą twarz zimę rumieńcem narzuci.

Gdy białe płótna wieszają na płocie,

(A co? jak ptaszki śpiewają w zawody!)

I mnie się zęby ostrzą na łakocie,

A kwarta piwa królewskie to gody.

A gdy skowronek tirra lirra głosi,

(A co? śpiew ptasząt za orkiestrę stanie),

Niech drozd i sójka także głos podnosi,

Jak się z kumami wylegam na sianie.

Byłem w służbie księcia Florycela, i w swoim czasie ubiera-  
łem się w potrójny aksamit, ale oddalono mię ze służby; —  
cóż robić!

Pocóż się, luba, smucić mam!

Patrz! księżyc świetne stawia rogi; —

A gdy się błąkam tu i tam,

Już się nie boję zbłądzić z drogi.

Jeśli kotlarzom wolno żyć,

I nosić fartuch z świńskiej skóry, —

To ja rachmistrzem mogę być,

I brać zapłatę w szynku z góry.

Handluję płótnem: jak przepiórka gniazdo robi, len drożeje.  
Nazwał mię Autolikiem mój ojciec, który, tak jak ja, urodził  
się pod Merkurym, i również był sprzątaczem nieznaczących  
drobiazgów. Z pomocą kości i zalotów sprawilem sobie tę po-  
włokę, a mój dochód czerpię z drobnego matactwa. Szubienice  
i pęgierze zanadto są potężne na wielkich drogach; być bi-  
tym i powieszonym, przestrasza mię; a co do życia przyszłego,  
usypiam w sobie myśl o niem. (Spostrzega *Gawła*) Zdobycz!  
zdobycz! (Wchodzi *Gaweł*).

\*) *Daffadil, Asphodelus*. Zob. *Kłuka Dykc. roślinny*



*Gawel.*

Zobaczmy! każda jedynastka owiec daje kamień wełny; każdy kamień wart funt sterling i około szylinga; otóż, z półtora tysiąca owiec, ile wyniesie wełna?

*Autolik (na stronie).*

Jeżeli zasadzka się uda, gawron mój.

*Gawel.*

Nie mogę tego porachować bez liczmanów. (Wyjmuje papier z kieszeni). Zobaczmy co trzeba kupić na uroczystość strzyży owiec. Trzy funty cukru, pięć funtów rodzyneków, ryż. Na cóż téj mojej siostrze potrzebny ryż? ale ojciec pozwolił jej rozporządzać tą uroczystością, a ona tak zanotowała. Zrobiła mi dwadzieścia cztery wiązanki z kwiatów dla strzyżących, co wszyscy umieją śpiewać pieśni na trzy głosy, i nawet dobrze, tylko że prawie wszyscy altem lub basem; jeden jest między nimi purytanin, ten wyśpiewuje psalmy pod kobzę. Trzeba kupić szafranu, żeby zaprawić ciasto z jabłkami, powideł, daktylów, nie, tego nie ma w mojej notatce: muszkatołów siedem; parę korzonek imbiru; o te muszę poprosić; cztery funty śliwek suszonych i tyleż suszonych winogron.

*Autolik (wlokąc się po ziemi).*

Ach! bodajbym się nie rodził.

*Gawel.*

O! nieba!

*Autolik.*

Ach! ratuj! ratuj mię! zdejm ze mnie te łaćmany, a wtedy śmierć, śmierć!

*Gawel.*

Nieboże, potrzebowałbyś chyba więcej przyodziewku, żeby się osłonić, nie zaś żeby to jeszcze z ciebie zdjąć.

*Autolik.*

Ach, panie, wstręt jaki te łaćmany we mnie budzą! bardziej mię boli, jak kije, któremi mię okładano; a było ich dużo, z milion.

*Gawel.*

Aj, ty biedaku, milion kijów, to wielka rzecz.

*Autolik.*

Okradziono mię, panie, i obito; wzięli mi pieniądze i odzież, i włożyli na mnie te paskudne rzeczy.



*Gawel.*

Któż to? człowiek na koniu, czy pieszy?

*Autolik.*

Pieszy, kochany panie, pieszy.

*Gawel.*

A pewnie, musiał być pieszy, sądząc po rupieciach, które ci zostawił; gdyby to był konny, to już strasznie gorącą musiałby mieć służbę. Podaj mi rękę, pomogę ci. Wstań, podaj mi rękę: (Podnosi go).

*Autolik.*

Ach! kochany panie, pomaluszku.

*Gawel.*

Aj, biedaczysko!

*Autolik.*

Ach! kochany panie; ostrożnie, kochany panie. Lękam się, czy nie mam łopatki zgruchotanój.

*Gawel.*

Jekże teraz? czy możesz stać?

*Autolik* (sięga do kieszeni *Gawła*).

Ostrożnie, drogi panie; kochany panie, ostrożnie. Miłośnierny uczynek spełniłeś.

*Gawel.*

Czy nie potrzebujesz pieniędzy? Mogę ci dać trochę pieniędzy.

*Autolik.*

Nie, kochany, drogi panie; nie, zaklinam cię, panie. Mam krewnego, ztąd nie dalej, jak o trzy ćwierci mili; do niego się wybierałem. Tam dostanę pieniędzy i wszystkiego czego potrzebuję. Nie ofiaruj mi, panie, pieniędzy; twoja dobroć serce mi rani.

*Gawel.*

Jakiego to gatunku człowiek był, ten co cię okradł?

*Autolik.*

Łotr, panie, co wprzód grywał we fortunę po dworach i z tego żył. Znałem go niegdyś jako książęcego sługę; nie umiem powiedzieć, dobry panie, za jakie to cnoty, dosyć że go wypędzili ze dworu.

*Gaweł.*

Chyba, za jakie występki. Cnót z dworów nie wypędzają; owszem, tam je pielęgnują, żeby zamieszkały; a jednak goszczą tylko na krótko.

*Autolik.*

Tak, panie, chciałem powiedzieć, że za występki. Znam dobrze tego człowieka; on potem małpy wodził, był pokątnym doradcą, woźnym; potem znowu pokazywał jasełka z historią o marnotrawnym synu, potem ożenił się z żoną kotlarza o milkę od mojej posiadłości; wreszcie, przierzucając różne podłe rzemiosła, został nakoniec formalnym łotrem. Zowią go niektórzy Autolikiem.

*Gaweł.*

Huż na niego! to oszust! klęę się na wszystko, oszust! Chodzi po wieczorynkach, po jarmarkach, na niedźwiedzie walki.

*Autolik.*

To prawda, panie, to właśnie on. Otóż to ten łotr tak mięę oporządził.

*Gaweł.*

Ale to ze wszystkich oszustów największy tchórz w całej Bohemii; gdybyś był tylko spojrział groźnie i plunął na niego, uciekłby zaraz.

*Autolik.*

Muszę wyznać panu, że nie jestem bitny; jakoś brak mi odwagi w takich zajściach; a on już wiedział o tém, za to ręczę?

*Gaweł.*

Jakże się czujesz teraz?

*Autolik.*

Kochany panie, daleko lepiéj jak wprzódy; mogę stać i chodzić, a nawet pożegnám już pana, i pójdę sobie wolnym krokiem do moich krewnych.

*Gaweł.*

Może cię odprowadzić do drogi?

*Autolik.*

Nie, miły panie; nie kochany panie.

*Gaweł.*

No, to bądź zdrów; muszę pójść nakupić przypraw z korzennego sklepu na naszą uroczystość strzyży owiec. (Wychodzi).

*Autolik.*

Szczęśliwój drogi, kochany panie. — Idź, już twój worek nie dosyć ciepły na kupno korzeni. Będę się jeszcze widział z tobą na téj strzyży owiec. Jeżeli mi się nie uda z tego kuglarstwa nowe wyprowadzić kuglarstwo, a strzygących postrzydz jak owce, niech będę wykreślony z rejestru, a imię moje niech będzie wpisane do księgi cnoty.

Kłusujemy żwawo przez ścieżki i drogi,

Wesołą pieśnią skrócmy sobie chwile;

Z sercem wesołem nie ustaną nogi,

Smutny się zmęczy zanim ujdzie milę (odchodzi).

**Scena XI.**

Bohemia. Przed wiejskim domem.

(Wchodzą *Florycel* i *Perdyta* w świątecznych strojach).

*Florycel.*

Te niezwykle stroje każdy wdzięk twój nowem życiem zdobią. To już nie pasterka, ale Flora zjawiona w kwietniowym poranku. Ta wasza uroczystość strzyży owiec jest jakoby schadzką podrzędnych bóstw, których jesteś królową.

*Perdyta.*

Łaskawy panie, łąjąc cię za tę przesadę nie przystoi mi; przebacz mi tę wzmiankę. Szlachetną osobę twoją, która jest celem nadziei całego kraju, skryłeś pod odzieżą pasterza, a mnie, biedną dziewczynę, podnosisz do rzędu bogiń. Szczęściem, nasze uroczystości pozwalają trochę poszaleć przy ucztach, a biesiadnicy znoszą to za zwyczaju. Inaczej, musiałabym się rumienić widząc cię tak przebranym, jak gdyby z umysłu, żeby mi pokazać jak ja powinienabym wyglądać.

*Florycel.*

Błogosławię chwilę, w której mój dobry sokół lot swój skierował na pola twojego ojca.

*Perdyta.*

Oby ci niebo słuszość przyznało! Dla mnie różnica stanu rodzi obawę; twoja wielkość nie przywykła lękać się. Nawet teraz drzę na myśl, że twój ojciec mógłby przypadkiem zaślubić tu, tak jak ty, panie. O! nieba! jakimże by on wzrokiem patrzył na to, że jego dzieło, tak przez niego wykształ-



cone, w tak niegodnój znajduje się oprawie. Cóż by powiedział? I jakże mogłabym ja, pod temi pożyczanemi falbanami, prze-  
nieść surowość jego wzroku?

*Florycel.*

Nie zasmucaj mię, miej wesołe tylko myśli. Sami bogowie uniżając godność swoją przed miłością, przybierali na siebie postać zwierząt. Jowisz został bykiem i ryczał, zielony Neptun był baranem i beczał, a bożek z płomienną suknią, złoty Apollo, prostym był pasterzem, jakim ja się teraz wydaję. Ich przeobrażenia nigdy nie były wywołane cudniejszą pięknoscią, i nie miały czystsze go celu, jak moje; bo moje pragnienia nie wybiegają poza szranki honoru, a namiętność moja nie więcej jest płomienną jak moja wierność.

*Perdyta.*

Ale, drogi panie, twoje postanowienie nie może wytrwać, skoro będzie (a musi tak być) w sprzeczności z władzą królewską. Wtedy, z tych dwóch konieczności jedna musi głośno przemówić: albo ty porzucisz swój zamiar, albo ja życie.

*Florycel.*

Najdroższa Perdyto, temi naciąganemi wyobrażeniami nie zasępiaj, proszę cię, wesela téj uroczystości: albo ja będę twoim, moja piękna, albo nie będę do ojca należał; bo nie mogę ani do siebie należyć, ani niczem być dla nikogo, jeżeli nie będę twoim. W tem jestem najstalszy, choćby los wyrzekł: nie! Bądź wesołą, najmilsza: zdław te myśli pierwszem wrażeniem, jakie wzrok twój uderzy. Oto goście twoi przychodzą: rozjaśnij twoje oblicze, tak jak gdyby to był dzień obchodu tego związku, któryśmy sobie oboje poślubili.

*Perdyta.*

O! Fortuno, dawczyni szczęścia, bądź nam przychylną!  
(Wchodzi *Pasterz Gawel, Mopsa, Dorkas, pasterze i pasterki, Polixen i Kamillo* przebrani).

*Florycel.*

Patrz! twoi goście nadchodzą. Bądź gotową przyjąć ich ochoczo, żeby aż pokraśniali z wesołości.

*Pasterz.*

Ha! córeczko! Póki moja stara żonka żyła, w tym dniu była krajczym, piwniczym, i kucharzem, zarazem panią i sługą. Witła wszystkich, służyła wszystkim. I piosenkę swoją zaśpie-

wała i okręciła się w tańcu. To w końcu stołu, to w środku, nad plecami tego, to drugiego, z twarzą rozognioną od pracy, a jak dla ochłody czego się napiła, to wszystkim podawała. A ty, trzymasz się na boku, jak gdybyś była gościem, a nie gospodynią. Proszę cię, pozdrów i ugość tych nieznanych przyjaciół, bo chcąc zostać lepszymi przyjaciółmi, trzeba wprzód zabrać znajomość. Chodź, chodź, przestań się rumienić, i przedstaw się tem czem jesteś, gospodynią i panią téj uroczystości. Chodź, i pozdrów uprzejmie twoich postrzygaczy, jeżeli chcesz, żeby ci się stado szczęśliwie wiodło.

*Perdyta* (do *Polixena* i *Kamilla*).

Witajcie panowie. Taka wola mego ojca, żebym przyjęła dziś na siebie rolę gospodyni. Witajcie! Daj mi te kwiaty, Dorkas. Szanowni panowie: oto dla was rozmaryn i ruta. Te kwiaty zachowują wdzięk i zapach przez całą zimę. Wdzięczność i wspomnienie ofiaruję wam, panowie, i witam was gośćmi na naszej pasterskiej zabawie.

*Polixen.*

Pasterko (bo, zaprawdę, piękną jesteś pasterką), — dobrze przystroiłaś nasz wiek niemłody zimowemi kwiatami.

*Perdyta.*

Panie, wtedy kiedy rok starzeje, kiedy jeszcze lato nie umarło, i nie urodziła się drżąca zima, wtedy, najpiękniejszymi kwiatami téj pory roku mają być goździki i różnobarwne lewkonije, co je niektórzy nazywają wyrodkami natury. Otóż, tych gatunków nasz wiejski ogród jest pozbawiony, i nie starano się o to, żeby je dostać.

*Polixen.*

Dla czegoż, śliczna dziewczyno, nie dbasz o nie?

*Perdyta.*

Bo słyszałam, że w ich urozmaiceniu sztuka przyłącza się do twórczej natury.

*Polixen.*

Choćby tak było; przyroda nigdy się nie polepsza innemi środkami, tylko takimi, jakie sama tworzy. Tym sposobem, ponad tą sztuką, która, jak mówisz, przyłączyła się do natury, jest inna sztuka, będąca samą przyrodą dziełem. Widzisz, miła dziewczyno, że delikatniejszy szczep łączymy z dzikszym pnem, i zuiewalamy podlejszego gatunku roślinę do wydawa-



nia szlachetniejszych pączków. Jestto sztuka, która poprawia przyrodę albo raczej odmienia ją, ale sama ta sztuka do przyrody należy.

*Perdyta.*

To prawda.

*Polixen.*

Wzbogać więc swój ogród lewkonijami i nie nazywaj ich więcój wyrodkami natury.

*Perdyta.*

Nie zapuszczę rydla do ziemi, by choć jedną podobną zasadzić roślinkę; tak samo, gdybym twarz miała sztucznie zabarwioną, nie życzyłabym sobie, żeby się to podobało temu młodemu człowiekowi, i żeby on dla tego tylko chciał się ze mną żenić. Oto jeszcze kwiaty dla was: rzeźwiąca lawenda, mięta, cząberek, majeranek, nogietek, co się kładzie razem ze słońcem i z niem razem wstaje we łzach: są to kwiaty co kwitną w środku lata, i myślę że przystoją ludziom średnich lat. Jeszcze raz witam was serdecznem pozdrowieniem.

*Kamillo.*

Gdybym należał do twojej trzody, przestałbym paść się, żeby się tylko napaść twoim widokiem.

*Perdyta.*

Niestety, panie, byłbyś wkrótce tak chudym, że styczniowe wiatry nawskróś by cię przewiały. (Do Florycela). Dla ciebie, najpiękniejszy przyjacielu, czemuż nie mam wiosennych kwiatów, któreby przystały twojej młodości, (do młodych pasterzy) równie jak dla was, (do pasterek) i dla was, dziewczyn gałązek z nierozkwitłemi pączkami kwiatów. O! Prozerpino, czemuż nie mam tu kwiatów, które w przestachu wyroniłaś z wozu Plutona: złotogłowu, co się pokazuje, zanim się jaskółka ośmieli, i co marcowe wiatry wabi swoją pięknością; ciemnych wprowadzie fiołków, ale woniejących jak powieki Junony lub oddech Cytarei, białych pierwiosnków, co więdną bezślubnie zanim poznały świetnego Feba w jego sile, (i dziewice często to spotyka); złocistych aurykuł i koron cesarskich, lilii wreszcie wszelkiego rodzaju, do których i kosaciec należy! O! tych mi brak, żeby wam napleść wiązanek, i ciebie, mój miły przyjacielu, całego niemi obrzucić.



*Florycel.*

Jakto? jakby do trumny?

*Perdyta.*

Nie, jakby do altanki, gdzie spocząć i igrać możesz, a nie do trumny, raczój żebyś się żywy schronił w moje objęcia. Chodźcie, weźcie wasze kwiaty. Wydaje mi się jakbym tu grała rolę w pasterskiej komedyi, jaką widziałam na Zielone Świątki. Pewnie to mój strój tak mię usposabia.

*Florycel.*

Cokolwiek czynisz w danej chwili, wydaje się to najlepszem. Jak mówisz, najmilsza, chciałbym żebyś zawsze mówiła; jak śpiewasz, chciałbym żebyś kupowała i sprzedawała, jałmużnę dawała i modliła się śpiewając, i żebyś dla urzędzenia swoich czynności nic nie potrzebowała, tylko je prześpiewać. Jak tańczysz, chciałbym żebyś była falą morską, żebyś mogła ciągle tańczyć i nic innego nie robić, być ciągle w ruchu, ciągle tak, i nie znać żadnej innej czynności. Twój sposób postępowania, tak właściwy tobie we wszystkich szczegółach, uwieńcza to co czynisz w danej chwili, do tego stopnia, że w każdym czynie jesteś królową.

*Perdyta.*

O! Doryklesie, twoje pochwały są zbyt przesadzone; tylko twoja młodość i ten prawdziwy rumieniec, co tak szczerze na twarz twoją występuje, dowodzą że jesteś niewinnym pasterzem. Gdyby to było rozmyślnie, mogłabym się obawiać, kochany Doryklesie, że nieszczerze się do mnie zalecasz.

*Florycel.*

O! pewnie; nie masz powodu wątpić o mojej szczerości, ani też ja nieufności twojej wzbudzać nie pragnę. Ale chodźmy! proszę cię do tańca. Podaj mi rękę, moja Perdyto: puśćmy się jak dwie turkawki, co nie myślą się rozłączyć.

*Perdyta.*

Ręczę za nie. (Florycel i Perdyta odchodzą, trzymając się pod rękę i rozmawiając.)

*Polixen.*

Najsłodsza to dziewczeczka wiejska, jaka kiedykolwiek biegała po zielonym trawniku. Wszystko co robi albo mówi, technie czemś wyższem od jęj stanu, czemś zanadto szlachetnem na to otoczenie, w jakim się znajduje.

*Kamillo.*

On coś do niej mówi. co wywołuje jój rumieniec. Naprawdę, ona jest królową mleczywa i śmietany.

*Gawel* (biorąc Mopsę do tańca).

Daléj, uderzcie w smyczki.

*Dorkas* (na stronie).

Jeżeli Mopsa jest twoją ulubioną, radzę ci, zjédz trochę czosnku, żeby poprawić smak jój całusów.

*Mopsa.*

Daléj, w takt!

*Gawel*

Dosyć już, dosyć; jesteśmy w pozycyi; uderzcie w smyczki. (Zaczyna się taniec pasterzy i pasterek, do którego należą wszyscy, prócz starego pasterza, Polixena i Kamilla).

*Polixen.*

Powiedz mi, dobry gospodarzu, kto jest ten młody pasterz, co tańczy z twoją córką.

*Stary pasterz.*

Nazywają go Doryklesem. Chwali się, że posiada wielkie pastwiska; wiem to tylko z jego mowy, ale wierzę temu; wygląda, jakby szczerze mówił. Mówi także, że kocha moją córkę, i ja tak myślę; bo nigdy się więcej nie przegląda księżyc w wodzie, jak on się wpatruje i jakby wczytuje w oczy mojej córki; a prawdę mówiąc, myślę że nie ma chyba więcej jak pół całusa różnicy między ich wzajemnymi uczuciami.

*Polixen.*

Z wdziękiem tańczy.

*Stary pasterz.*

Tak wszystko robi; a chociaż mówię to, co powinienbym raczej zamilczyć, powiem, że, jeżeli młody Dorykles z nią się ożeni, więcej mu ona przyniesie, niż on zamarzyć może. (Wchodzi sługa).

*Sługa.*

Panie gospodarzu, gdybyście tylko słyszeli kramarza, co we wrotach stoi, nie choilibyście już tańczyć pod bęben i piszczałkę, nawet kobza by was nie poruszyła. Śpiewa różne pieśni prędzéj niżbyście pieniądze mogli rachować; tak je wybornie wygłasza, jak gdyby się najadł samych ballad, a wszystkich ludzi uszy wyciągają się na jego głos.



*Gawel.*

Niemógł lepiej trafić; niech przyjdzie! Strasznie lubię ballady takie, których treść smutna a nuta wesoła, albo, jeżeli jest coś śmiesznego a śpiewa się płaczliwie.

*Sługa.*

On ma piosnki dla mężczyzn i dla kobiet, różnego kroju; żaden galanteryjny kupiec nie dobierze lepiej rękawiczek, jak on piosnki, jakiej komu potrzeba. Najładniejsze miłosne piosenki dla dziewcząt, i to bez tłustych conceptów, co rzadkie. Z delikatnemi przyśpiewkami: dana, dana! hej, ha! łapcie ją, okręćcie ją! a jakby jaki hultaj z brzydką gębą chciał nibyto pofiglować i popisać się z nieskromnym żartem, to zaraz każe dziewczynie odpowiadać; Idź precz, daj mi pokój, dobry człeku! Tak go odpycha i odczepia się od niego, śpiewając; Idź precz, daj mi pokój, dobry człeku!

*Polizien.*

To dzielny zuch!

*Gawel.*

Wiesz co, to musi być sprytny chłopiec. Czy ma jakie towary na pokaz?

*Sługa.*

Ma wstażki wszystkich kolorów tęczy; koronki z tak subtelniemi punktami, że podobnych i najuczciwszy prawnik w Bohemii nie wyszperałby w kodeksie, chociaż je bierze z hurtowego składu; pasy, trykoty, batysty, płócienska. On wyśpiewuje wszystkie swoje towary wierszami, jakby jakich bożków lub boginie; myślałbyś że koszula to anioł, tak potrafi wyśpiewać mankietki i zakładki.

*Gawel.*

Proszę cię, wprowadź go, i niech wejdzie śpiewając.

*Perdyta.*

Przestrzeż go tylko, żeby nie używał brzydkich słów w swoich piosnkach.

*Gawel.*

No, no; bywają tacy kramarze, co mają więcej sensu niż mogłoby ci się zdawać, siostró.

*Perdyta.*

Raczej, dobry bracie, więcej niż dbam o to (wchodzi Autolik śpiewając).



*Autolik.*

Weba tak biała, jak śnieg napruszony,  
 Krepa czarniejsza od kruka lub wrony,  
 Pachnące perską różą rękawiczki,  
 Maski na nosy, maski na twarzyczki,  
 Z bursztynu kolje, z gagatu branslety,  
 Pachnidła zdatne do damskiej tualety,  
 Zasłony złotem szyte, pelerynki,  
 Dla luhych dziewcząt miłe upominki,  
 Spinki ze stali wyrobione ładnie,  
 Wszystko co pannom do stroju przypadnie:  
 Kupujcie chłopcy, kupcie zapas cały,  
 Żeby kochanki na was nie płakały.

*Gawel.*

Gdybym się nie kochał w pięknej Mopsie, nie miałbyś  
 pieniędzy odemnie, ale skoro jestem w więzach, muszę na  
 znak hołdu kupić kilka wstążek i kilka par rękawiczek.

*Mopsa.*

Były mi obiecane na dzień przed balem, ale i teraz nie  
 przychodzą za późno.

*Dorkas.*

Obiecał ci coś więcej, jeżeli ludzie nie kłamią.

*Mopsa.*

Tobie on wszystko dał, co obiecał; być może nawet że  
 ci dał coś więcej, cobyś mu się wstydziła oddać.

*Gawel.*

A gdzież-to się podziały dobre obyczaje u dziewcząt?  
 To już niedługo spodnice włożą gdzie mają być twarze? To  
 nie macie czasu jak idziecie do dojenia, albo do łózka, albo  
 do piekarni, albo do słodowni, rozgadywać wtedy wasze tajem-  
 nicy? Trzebaż jeszcze żebyście wszystko wyplotły przy go-  
 ściach? To dobrze przynajmniej że sami teraz prowadzą ciche  
 rozmowy. Przyciszcicie wasze języki, i ani słowa więcej.

*Mopsa.*

Skończyłam. No, obiecałeś mi szychowy pasek i pa-  
 chnące rękawiczki.

*Gawel (do Mopsy).*

Czy ci nie mówiłem, jak mnie oszukano na drodze i stra-  
 ciłem wszystkie pieniądze.

*Autolik.*

Rzeczywiście, panie, oszuści krążą po wsiach, i dla tego ludzie powinni być ostrożni.

*Gawel.*

Nie lękaj się, człowiecze, tutaj nic ci nie zginie.

*Autolik.*

Spodziewam się, panie; a mam dużo towarów w mojem pudle.

*Gawel.*

Co tam masz? ballady?

*Mopsa.*

Proszę cię, kup mi jakie. Ja tak lubię ballady drukowane; przynajmniej wtedy wiemy z pewnością, że to prawdziwe.

*Autolik.*

Oto jedna na nutę bardzo płacziwą, o tém, jak żona lichwiarza porodziła dwadzieścia worków talarów na raz, i koniecznie zachciało jój się siekanki z węzowych głów i ropuch.

*Mopsa.*

Jak myślisz, czy to prawda?

*Autolik.*

Zupełna prawda; zdarzyło się to przed miesiącem.

*Mopsa.*

Niech mię niebo strzeże od wyjścia za mąż za lichwiarza.

*Autolik.*

Nawet tam stoi nazwisko akuszerki, nazywa się Bajdura, i kilka innych uczciwych kobiet, które przy tem były. Na cóż ja miałbym kłamstwa roznosić?

*Mopsa.*

Proszę cię, kup to,

*Gawel.*

No, odłóż ją na bok; ale zobaczmy wprzód inne ballady, a tamte rzeczy później kupimy.

*Autolik.*

Oto inna ballada o jednej rybie, która się pokazała przy brzegu we środę ośmdziesiątego kwietnia, a czterdzieści tysięcy sążni nad wodą, i która skomponowała tę balladę przeciwko dziewczynom bez serca. Powiadają że była kobietą i została zamienioną w zimną rybę, dla tego, że nie chciała się zgodzić



na żadną zamianę z jednym, co ją kochał. Ballada bardzo żałosna i równie prawdziwa.

*Mopsa.*

Jak myślisz, czy także prawdziwa?

*Autolik.*

Pięciu sędziów pokoju podpisało się, a świadków tylu, co ledwie w pudle się zmieści.

*Gawel.*

I tę odtóż, i pokaż inną.

*Autolik.*

Oto już wesoła ballada, ale bardzo ładna.

*Gawel.*

Dobrze, trzeba też wziąć co z wesołych.

*Autolik.*

Oto ta bardzo wesoła, a śpiewa się na nutę: Dwie się zalecały do jednego chłopca. Nie ma panny w zachodniej stronie, co by tego nie śpiewała; bardzo się o tę balladę dopytują, słowo daję.

*Mopsa* (do Autolika, wskazując na Dorkas).

Możemy ją śpiewać obie; jeżeli także będziesz śpiewał, to zobaczysz jak to pójdzie, bo to na trzy głosy.

*Dorkas.*

Nauczyłyśmy się tej nuty przed miesiącem.

*Autolik.*

Ja mogę też zaśpiewać; trzeba wiedzieć że to moje powołanie; no, uważajcie dobrze: (śpiewa):

Żegnajcie, muszę iść, trudna rada,

Lecz dokąd, wiedzieć wam nie wypada.

*Dorkas.*

Dokąd, dokąd?

*Mopsa.*

Dokąd?

*Dorkas.*

Dokąd sam?

*Mopsa.*

Jeśli masz spełnić twe obietnice,

Musisz mi zwierzyć swe tajemnice.

*Dorkas.*

Weź z sobą także mnie, niech zdążę tam.



*Mopsa.*

Czy do stodoły, czy też do młyna?

*Dorkas.*

Jedno, czy drugie, zła to nowina.

*Autolik.*

Ni tu, ni tam.

*Dorkas.*

Co? nie?

*Autolik.*

Ni tu, ni tam.

*Dorkas.*

Tyś mi przysięgał być mym kochankiem.

*Mopsa.*

Mnieś to poprzysiągł dziś jeszcze rankiem;

Więc dokąd myślisz iść, o! wyznaj nam.

*Gaweł.*

Zaśpiewamy sobie później tę piosenkę całą, bo teraz mój ojciec i ci panowie o czemś poważnie rozmawiają! nie trzeba im przeszkadzać. Pójdźno, zabierz swoje pudło i idź za mną. Dziewuchy, nakupię różnych rzeczy dla was obu. Pamiętaj, kramarzu, że mamy pierwszeństwo w wyborze. Chodźcie ze mną, dziewczyny.

*Autolik (na stronie).*

Dobrze za nie zapłacisz. (śpiewa).

Chcesz tasiemki lub plecionki,

Do mantylki chcesz koronki,

Smaczna kurko, kochana kokoszo?

Czy jedwabiu, czy sznurówki,

Czy ozdoby na strój główki,

Nowej mody, tak jak teraz noszą?

Do kramarza bardzo proszę,

Naganiaczeń będą gorzej,

Co u ludzi towary wypłoszą.

(Gaweł, Autolik, Dorkas, i Mopsa odchodzą).

*Sluga (wchodzi).*

Panie gospodarzu, jest tam trzech fernali, trzech pastuchów, trzech wolarzy i trzech od trzody, co się przestroili w włochatych ludzi. Nazywają się sami skatyrkami, i wykonywują taniec, o którym dziewczki mówią, że to tylko bigos

z samych skoków, a to dla tego, że do niego nie należą. Ale same one tak nie myślą; wiedzą, że to dzikie dla tych tylko, co nie wiele więcej umieją. jak poskakiwać na trawniku, i że ten taniec może się doskonale podobać.

*Stary Pasterz.*

Dosyć, nie chcemy tego. Już się tu dosyć nawyprawiało prostego błazeństwa. Wiem, panie, że się uprzykrzamy.

*Polixen.*

Uprzykrzasz się chyba tym, co nas bawią. Owszem, pokaż nam proszę te cztery trójki pastuchów.

*Sługa.*

Jedna trójka z pomiędzy nich, panie, jak sami mówią, tańczyła przed królem: a nienajgorszy z tych trzech skacze nie mniej jak o dwadzieścia stóp i pół dobrej miary.

*Stary Pasterz.*

Przestań gadać; kiedy ci dobrzy ludzie radzi temu, wprowadź ich tu, ale zaraz.

*Sługa.*

Dobrze, panie, oto stoją we drzwiach. (Wychodzi, i wraca w towarzystwie dwunastu satyrów, którzy wykonywują tańce charakterystyczne a potem odchodzą).

*Polixen (do Starszego pasterza).*

No, mój pocziwcze, niezadługo więcej się o tem dowiesz. (Na stronie). Czy nie za daleko rzeczy zaszły? Już czas ich rozłączyć. Ten jest szczery i dużo mówi. (Głośno do Florycela przechodzącego). Cóż, piękny pasterzu, twoje serce pełne jest czegoś, co odwraca twe myśli od zabawy. Słowo daję, jakem był młody, a prowadziłem kochankę pod rękę, tak jak ty, miałem zwyczaj obdarzać ją do zbytku błyskotkami. Byłbym opustoszył jedwabisty skarbiec kramarza i wysypał przed nią, żeby go przyjęła, a tyś mu dał odejść i nie mu nie dałeś utargować. Gdyby twoja bogdanka źle to wytłumaczyła, gdyby ci to wyrzucała, pomawiając cię o brak miłości lub hojności, byłbyś w kłopotcie jak jój odpowiedzieć, jeżeli tylko dbasz o szczęśliwe zachowanie jój względów.

*Florycel.*

Szanowny panie, wiem że ona nie przywiązuje żadnej wartości do świecidełek. Podarunki jakich ona oczekuje odemnie są nagromadzone i zamknięte w mojem sercu, które już jój



ofiarowałem, alem jój jeszcze do rąk nie oddał. (Do Perdyty). O! pozwól mi wynurzyć technienie mojego życia przed tym szanownym panem, który, jak się zdaje, kochał kiedyś. Biorę twoją rękę, tę rączkę miękką jak puch gołębi, białą jak ząb Etyopa, albo jak śnieg świeży, dwa razy przesiany przez sito uraganów północnych.

*Polixen.*

Cóż będzie dalej? Jakże wdzięcznie ten młody pasterz głaszcze tę rączkę już i tak piękną. Ale przerwałem ci, wróćże do swojego oświadczenia, niech usłyszę co tu masz wyznać.

*Florycel.*

Dobrze, i bądź, panie, moim świadkiem.

*Polixen.*

I ten mój sąsiad także.

*Florycel.*

I on także, i więcej jak on i wszyscy ludzie, ziemia, niebo, wszystko! Gdybym miał największego cesarstwa koronę, i gdybym na nią zasłużył; gdybym był najpiękniejszym młodzieńcem, co kiedykolwiek pięknością oczy ludzkie olśnił, gdybym miał siły i nauki więcej jak ktokolwiek z ludzi miał kiedy, za nic bym cenił to wszystko dla jój miłości: dla niej bym tylko tych wszystkich darów używał, poświęciłbym je na jój usługi, albo skazałbym je na zgubę.

*Polixen.*

Piękna ofiara!

*Kamillo.*

To pokazuje głębokie przywiązanie.

*Stary pasterz.*

Ale ty, moja córko, czy to samo mu powiesz?

*Perdyta.*

Nie bym nie mogła równie dobrego wypowiedzieć, ani tak dobrze; nie, ani nawet pomyśleć lepiej. Z własnych moich uczuć wzór biorę, i według tego sędzę o jego szczerości.

*Stary pasterz.*

Weźcie się za ręce; targ ubity. A wy, nieznani przyjaciele, dacie o tem świadectwo. Oddaję mu moją córkę, i dam jój posag równy temu co on posiada.



*Florycel.*

O! tym posagiem musi być cnota twojej córki. Po czy-  
jéjs śmierci więcéj mieć będę niżbyś mógł zamarzyć, dosyć by  
wzbudzić twoje zadziwienie. Ale daléj, zwiąż nas w obec tych  
świadków.

*Stary pasterz.*

Dobrze, daj twoją rękę, i ty, córko, twoją.

*Polixen.*

Powoli, pasterzu; chwilkę, proszę cię. (Do Florycela).  
Czy masz ojca?

*Florycel.*

Mam, ale cóż z tego?

*Polixen.*

Czy on wie o tem?

*Florycel.*

Ani wie, ani będzie wiedział.

*Polixen.*

Zdaje mi się, że ojciec na weselu syna jest gościem,  
któremu najlepší przystoi miejsce za stołem. Jeszcze słowo,  
proszę cię. Czy twój ojciec stał się niezdolnym do spraw ro-  
zumnych? Czy nie zgłupiał z wieku lub reumatyzmów? Czy  
może mówić? słyszeć? rozeznąć człowieka od człowieka? za-  
rządzać swoim majątkiem? Czy może z łóżka nie wstaje? lub  
znowu nie innego nie robi, tylko to co robił będąc dzieckiem?

*Florycel.*

Nie, dobry panie; używa zdrowia; owszem lepszego zdro-  
wia, jak większa część ludzi w jego wieku.

*Polixen.*

Na moją siwą brodę, wyrządzasz mu, skoro tak jest,  
krzywdę prawdziwie nie synowską. Słusznie, żeby syn sam so-  
bie żonę wybierał, ale równie słuszną jest rzeczą, żeby ojciec  
(którego jedyną radością jest zacne potomstwo) podał przecię  
radę w takiej sprawie.

*Florycel.*

Zgadzam się na to wszystko, ale dla kilku innych przy-  
czyn, szanowny panie, których nie wypada panu wiedzieć, nie  
zawiadamiam mojego ojca o téj sprawie.

*Polixen.*

Niech wié przecie o tem.

*Florycel.*

Nie, nie będzie wiedział.

*Polixen.*

Proszę cię, daj mu o tem wiedzieć.

*Florycel.*

Nie, nie można.

*Stary pasterz.*

Zrób tak, mój synu; nie będzie miał powodu do gniewu jak pozna twój wybór.

*Florycel.*

Nie, nie, to nie może być. Niech się dopełni nasz ślub.

*Polixen* (zdejmuje fałszywą brodę i daje się poznać).

Wasz rozwód, młody panie, którego nie śmiem synem nazwać, bo jesteś zanadto nizecznym, żebym cię mógł uznać; ty, co będąc dziedzicem tronu, tak zamiłowałeś kij pasterski. (Do starego pasterza). Co do ciebie, stary zdrajco, żałuję że, wieszając cię, ledwie o tydzień skracam twoje życie. (Do Perdyty) A ty, świeży wzorze doskonałej czarownicy, coś koniecznie musiała wiedzieć kto jest ten szaleniec królewskiego rodu, któregoś wabiła.

*Stary pasterz.*

O! moje serce!

*Polixen.*

Cierniami zedrę twoją piękność, żeby ją zrobić podlejszą jeszcze jak twój stan. (Do Florycela). Co do ciebie, szalony chłopcze, jeżeli kiedy się dowiem że tęsknisz, nie mogąc już więcej widzieć téj lalki, (bo tak rozumiem, że nigdy już jej nie ujrzysz), wykreślę cię z mojego dziedzictwa, nie będę cię uważał za pochodzącego z mojej krwi, ani za bliższego siebie jak Deukaliona potomstwo. Zapamiętaj moje słowa, i wróć zenną do dworu. (Do pasterza). Ciebie prostaku, chociaż w pełni naszego niezadowolenia, jednak uwalniamy na teraz od śmiertelnego ciosu, jakim ci ono zagraża. (Do Perdyty). A ty, czarodziejko, coś pewnie godna pasterza, a nawet i tego samego, co przez to jedynie stał się ciebie niegodnym, że część nasza na tem by cierpiała; jeżeli kiedy odtąd zarzucisz twoje wiejskie sieci po to, żeby go przyciągnąć, jeżeli w uścisku zbliżysz się do niego, wiedz, że wymyślę dla ciebie śmierć tyle okrutną, ile sama jesteś delikatną. (Odechodzi).



*Perdyta.*

Otóż, zgubiona jestem! Nie bardzo przecież byłam przestraszona. Parę razy gotowałam była przemówić, i powiedzieć mu otwarcie, że to samo słońce co świeci nad jego pałacem nie odwraca swego oblicza od naszej chatki i jednakowo na nas patrzy. (Do Florycela). Zechciej, panie, oddalić się. Mówiłam ci, co z tego wyniknie. Błagam cię, miej staranie o twojej godności. Z tego snu gdym się obudziła, nie chcę już ani chwili dłużej marzyć o tem, żem królowa. Pójdę krowy doić i płakać.

*Kamillo (Do pasterza).*

No cóż, ojcze, przemów, pókiś jeszcze nie umarł.

*Pasterz.*

Nie mogę mówić, ani myśleć, nie śmiem nawet wiedzieć tego, co wiem. (Do Florycela). O! panie, zgubiłeś starca, co ma koło osiemdziesięciu lat, co się spodziewał zstąpić do grobu spokojnie, umrzeć na łóżku na którym ojciec jego umarł, spoczywać obok ucziwych jego kości; a teraz trzeba, żeby kat zawinął mię w całun i złożył do ziemi, której żaden ksiądz rydłem nie poruszy. (Do Perdyty). O! przekłeta łotrzyni, wiedziałas że to królewicz, a ośmieliłaś się zamienić z nim śluby. Zgubiony! zgubiony! Gdybym mógł być umrzeć przed godziną, byłbym żył tyle, ile potrzeba, żeby umrzeć w pożądanej chwili. (Odechodzi).

*Florycel (Do Perdyty),*

Czemu tak na mnie patrzysz? Jestem zasmucony, ale nie przestraszony; podrażniony, ale nie zmieniony. Jakim byłem, takim jestem: tem więcej rwę się naprzód, im bardziej mię powściągają, niezdolny wbrew mojej woli dać się prowadzić za cugle.

*Kamillo.*

Miłościwy panie, znasz charakter twojego ojca; w tej chwili nie dopuściłby on żadnych uwag, których, jak miniemam nie zamierzasz mu czynić; obawiam się tego, że nie łatwiej zniosłby twój widok; przeto, dopóki zawziętość jego królewskiej mości nie uspokoi się, nie stawaj lepiej przed nim.

*Florycel.*

Nie mam tego zamiaru. (Wpatrując się w Kamilla). To Kamillo, zdaje mi się.



*Kamillo.*

On sam, miłościwy panie.

*Perdyta.*

Ileż to razy mówiłam ci, że tak będzie. Jakże często powtarzałam, że te moje zaszczyty dopóty tylko trwać będą, dopóki się o tem nie dowiedzą.

*Florycel.*

Zginać nie mogą, chyba gdybym wiarę naruszył, a wtedy niech natura rozbije krawędzie ziemi, i niech zginie wszelki zaród życia. — Wznies oczy w górę! — Pozbaw mię, ojczy, praw dziedzictwa, niech będę dziedzicem tylko mojej miłości.

*Kamillo.*

Posłuchaj rady.

*Florycel.*

Słucham rady mojego natchnienia. Jeżeli rozum jój usłucha, rozumnie postąpię; jeżeli nie, uczucie zadowolni się szaleństwem i przywita je chętnie.

*Kamillo.*

To rozpacz, panie.

*Florycel.*

Tak sobie nazwij, ale tym sposobem spełniam ślub, i muszę to uważać za uczciwe. Kamillo, ani za Bohemię i wszelką chwałę, jakąbym mógł w niej zebrać, ani za wszystko co słońce widzi, lub co w łonie ziemi jest zawarte, lub co głębokie morza kryją w nieznanych przepaściach, nie chcę złamać wiary zaprzysiężonej tój pięknej ukochanej mojej. A zatem, proszę cię, tak jak byłeś zawsze przyjacielem mojego ojca, skoro się przed nim nie stawię (bo, zaprawdę, nie mam zamiaru widzieć go więcej), przytłum dobrei radami namiętną jego zawziętość. Odtąd, rozpoczniemy walkę, ja i los. Możesz to wiedzieć i powtórzyć mu, że się puszczę na morze z tą, której mi nie wolno mieć przy sobie na tych wybrzeżach; a właśnie zdarzyło się dogodnie dla moich zamiarów, że mam tu okręt blisko krążący, chociaż nie w tym celu był przygotowany. Jakiś drogi zamierzam się trzymać, nie przyda ci się wiedzieć i nie mam potrzeby mówić.

*Kamillo.*

O! miłościwy panie, pragnąłbym, żeby twój umysł był skłonniejszym do usłuchania rady, lub silniejszym w pojmowaniu tego, co ci potrzebne.

*Florycel.*

Posłuchaj, Perdyto. (Do Kamilla). Ciebie za chwilę wysłucham. (Rozmawia cicho z Perdytą).

*Kamillo.*

Niewzruszony! Postanowił uciekać. A cóż? byłbym szczęśliwy, gdybym mógł spożytkować jego odjazd na korzyść moich życzeń, od niebezpieczeństwa go uchronić, okazać mu miłość i cześć, a zarazem pozyskać za to możność widzenia mojej drogiej Sycylii i tego nieszczęśliwego króla, pana mojego, którego tak pragnę zobaczyć.

*Florycel (odechodzi).*

Teraz, kochany Kamillo, tak jestem przynaglony pilną sprawą, że muszę zaniechać wszelkich ceremonii.

*Kamillo (zatrzymuje go).*

Panie, sądzę że słyszałeś o moich jakichkolwiek usługach, o przywiązaniu jakie okazywałem twojemu ojcu.

*Florycel.*

Bardzo szlachetnie zasłużyłeś się. Pochwała twoich czynów jest miłą muzyką dla mojego ojca, i nienajmniejszym jest jego staraniem wynagrodzić je w miarę tego, jak je ocenia.

*Kamillo.*

Dobrze, miłościwy panie; kiedy podoba ci się mniemać że kocham króla, a przez niego i tego, który mu jest najbliższym, to jest, twoją łaskawą osobę, przyjmij tylko moją radę. Jeżeli twój projekt stanowczy, po głębokiej rozwadze, może uleść jakiegokolwiek zmianie, honorem ręczę, wskażę ci miejsce gdzie spotkasz takie przyjęcie, jakie przystoi waszej wysokości, gdzie będziesz mógł żyć z ulubioną, od której, jak widzę, nie by cię nie mogło rozłączyć, chyba (niech niebiosy ustrzegą!) twoja zguba. Ożeń się z nią; a najusilniejszym będzie mojem staraniem, w twojej nieobecności starać się ułagodzić twojego zagniewanego ojca, i skłonić go do przychylności.



*Florycel.*

Jakże, Kamillo, mogłoby się stać to, co byłoby prawie cudem? Mów, żebym mógł cię nazwać czemś więcej jak człowiekiem, a następnie zaufać ci.

*Kamillo.*

Czy już pomyślałeś o miejscu do którego masz zdążyć?

*Florycel.*

Jeszcze nie! Ale kiedy nieprzewidziany wypadek jest powodem tego, co tak na oślep przedsięwierzemy, przeto uznajmy się niewolnikami przypadku, i biegnijmy jak muchy w kierunku w którym wiatr powieje.

*Kamillo.*

Więc posłuchaj mię, panie, jak następuje: Jeżeli nie chcesz zmienić zamiaru i poddajesz się skutkom ucieczki, płyn do Sycylii; a tam przedstaw się sam i przedstaw swoją piękną księżnę (bo widzę że już musi nią być) królowi Leontowi. Niech będzie przybrana jak przystoi towarzysze twojej łóżnicy. Zdaje mi się, że widzę jak Leontes otwiera ci chętnie objęcia, że łzami cię pozdrawia i wita; prosi ciebie, to jest, syna, o przebaczenie, jak gdybyś był w osobie ojca, całuje rękę twojej młodej księżny, znowu i znowu dzieląc myśli między wspomnieniami dawniej niechęci a terazniejszą życzliwością; tamtę do piekieł odpędza, a tę widzi wzrastającą prędkiej jak myśl, jak czas.

*Florycel.*

Godny Kamillo, jakimże pozorem ubarwię przed nim zamiar moich odwiedzin.

*Kamillo.*

Że jesteś posłany przez króla, ojca twojego, żeby go pozdrowić i wyrazić mu współbolewanie. Sposób w jaki masz się zachować względem niego, i to co masz mu powiedzieć jakby to pochodziło od twojego ojca, a co odnosi się do rzeczy, o których my trzej tylko wiemy, — wszystko to, panie, wyłożę ci na piśmie, wymieniając punkt po punkcie co przy każdym widzeniu masz powiedzieć, żeby Leontes nie mógł inaczej sądzić, tylko że posiadasz całe zaufanie ojca i przemawiasz jakby z głębi jego serca.

*Florycel.*

Jestem ci obowiązany; jest coś obiecującego w téj radzie.



*Kamillo.*

Bardziej obiecujący projekt, jak rzucenie się na oślep na nieznane wody ku nieznanym brzegom; z pewnością wiele byś się, panie, biędy nacierpiał, bez nadziei ratunku; bo, ledwie byś się chwycił jednego środka, już by ci się wysliznął; tak, że musiałbyś polegać tylko na kotwicy, która, gdy ci najlepiej usłuży, tam by cię zatrzymała, gdzie ciężko byłoby ci zostać. Zresztą, wiesz o tem, panie, pomyślność jest prawdziwym węzłem miłości, której świeżą cerę a nawet i serce samo, zmartwienie odmienić może.

*Perdyta.*

Jedno z tego jest prawdziwe. Myślę że zmartwienie może cerę zmienić, ale uczucia nie podbije.

*Kamillo.*

Doprawdy? tak mówisz. Nie urodzi się chyba i za siedem lat w domu twojego ojca podobna dziewczyna.

*Florycel.*

Moj dobry Kamillo; o ile urodzeniem zdaje się nam nie dorównywać, o tyle wzniesioną jest nad wychowanie, jakie otrzymać mogła.

*Kamillo.*

Nie mogę powiedzieć, że szkoda, iż zbywa jęj na wykształceniu; bo pokazuje się że mogłaby być nauczycielką tych, co uczą.

*Perdyta.*

Przebac, panie. Niech rumieniec zastąpi podziękowanie.

*Florycel.*

Moja najśliczniejsza Perdyto! Ale, niestety, po jakich my tu cierniach stąpamy! Kamillo, coś był zbawcą mojego ojca, teraz moim, lekarzu naszego domu, jakże teraz zrobimy? Nie jesteśmy zaopatrzeni jak przystało na królewicza Bohemii, i nie możemy pokazać się tak w Sycylii.

*Kamillo.*

Miłościwy panie, nie lękaj się tego. Wiesz, jak sędzę, że cały mój majątek znajduje się w tamtym kraju: mojem będzie staraniem, żebyś mógł po królewsku wystąpić, tak jak gdyby rola którą odegrasz była moją. Naprzykład, panie, żebyś mógł się przekonać że ci na niczem zbywać nie będzie,

pozwól że w kilku słowach rzecz objaśnię. (Rozmawiając odchodzą na stronę).

*Autolik (wchodzi).*

Ha! ha! co to za głupia istota Uczciwość, a Zaufanie, brat jój zaprzysiężony, co to za proste pacholę! Przedałem cały mój kram: ani jednego fałszywego kamienia, wstążki, szkiełka, słoika pomady, broszki, pugilaresika, ballady, nożyka tasiemki, rękawiczki, sznurowadła, bransoletki, rogowego pierścionka, nie nie pozostało, coby ochroniło moje pudło od postu. Cisnęli się kto pierwszy kupi, jak gdyby moje świecidełka były poświęcone i przynosiły błogosławieństwo temu, kto je kupi. Tym sposobem zobaczyłem czyj woreczek najpokaźniejszy, a com zobaczył, tom zapamiętał na mój własny użytek. Mój Gawęł, któremu trochę tylko brakuje, żeby być rozsądnym człowiekiem, tak się rozmiłował w śpiewie tych dziewek, że stał ciągle na tylnych łapach, dopóki nie dostał słów i nuty, co tak przyciągnęło ku mnie resztę trzody, że wszystkie ich zmysły zbiegły się w samym słuchu. Można było spodnicę ściągnąć, niktki nie uczył; niczem było wyjąć z kieszeni woreczek; mógłbym był zabrać kluczyki wiszące na łańcuszkach. Nie miano słuchu, ani czucia, tylko dla piosnki tego jegomości; tylko tę nicosć podziwiano. Tym sposobem, przez ten czas letargu ściągnąłem lub obciąłem większą część woreczków, — i gdyby nie nadszedł ten stary, co zaczął wymyślać na swoją córkę i na syna królewskiego, i nie wystraszył moich gołębi z zasadzki, byłbym chyba nie zostawił ani jednego woreczka przy życiu w całym tem wojsku. (Kamillo, Florycel i Perdyta wracają).

*Kamillo.*

Tak; ale skoro tym sposobem moje listy nadejdą tam tak prędko, jak wy przypłyniecie, to wszelka wątpliwość wyjaśni się.

*Florycel.*

A te które otrzymasz od króla Leonta.

*Kamilla.*

Zaspokoją twój ojca.

*Perdyta.*

Oby ci się poszczęściło! Wszystko co mówisz, dobrem mi się wydaje.



*Kamillo* (spostzegając Autolika).

Kogóż tu mamy? Użyjmy go za narzędzie; żadnej okoliczności nie trzeba opuszczać, która by nam mogła pomoc przynieść.

*Autolik.*

Jeżeli podsłuchali com teraz mówił, cóż? będę wisiał.

*Kamillo.*

No cóż, dobry człeku, czego tak drżysz? Nie bój się, chłopcze, nikt cię tu nie myśli skrzywdzić.

*Autolik.*

Biedny człowiek jestem, panie.

*Kamillo.*

A cóż, bądź sobie takim i nadal. Nikt ci nie chce tego tytułu wydrzeć. Ale co się tyczy zewnętrznej szaty ubóstwa, musimy zrobić zamianę; a więc, rozbierz się natychmiast; musisz być pewnym, że tu zachodzi konieczność; i zamień się na ubranie z tym panem. Chociaż, co do wartości pieniężnej, na jego stronie będzie strata, jednak masz to jako przydatek. (Daje mu woreczek z pieniędzmi).

*Autolik.*

Jestem biedny człowiek, panie. (Na stronie). Znam ja was dobrze.

*Kamillo,*

No, proszę cię, śpiesz się. Ten pan już do połowy gotów.

*Autolik.*

Czy pan mówisz na seryo. (Na stronie). Przewąchuję tu figiel.

*Kamillo.*

Śpiesz się, proszę cię.

*Autolik.*

Prawda, dostałem przydatek, ale sumiennie nie mogę go przyjąć.

*Kamillo.*

Rozpinaj sprzączkę, rozpinaj. (Florycel i Autolik zamieniają wierzehnie odzienia). Szczęśliwa pani! (oby moje proroctwo sprawdziło się na tobie!) trzeba żebyś schroniła się gdzie na chwilę, weź kapelusz twojego kochanka i nasuń go na oczy, osłoń sobie twarz, odwróć twoje ubranie, i ile tylko można, przekształć prawdę twojej własnej postaci, żebyś mogła (bo



lękam się oczów zwróconych na ciebie) wstąpić niepoznana na okręt.

*Perdyta.*

Sztuka, widzę, tak ułożona, że i ja muszę odegrać rolę.

*Kamillo.*

Nie ma na to rady. (Do Florycela). Czy już skończone?

*Florycel.*

Gdybym teraz spotkał mojego ojca, nie nazwałby mnie synem.

*Kamillo* (do Florycela).

Nie powinienes, panie, mieć kapelusza na głowie. Chodź pani, chodź. (Do Autolika). Bądź zdrow, przyjacielu.

*Autolik.*

Żegnam pana.

*Florycel.*

O! Perdyto, czyśmy czego nie zapomnieli. Proszę cię, jedno słowo. (Odchodzi z nią na stronę).

*Kamillo* (na stronie).

Co przedewszystkiem zrobić? Powiem królowi o ich ucieczce, i dokąd zmierzają. A wtedy, spodziewam się przez namowę zniewolić go żeby zdążył za nimi; w jego towarzystwie zobaczę znowu tę Sycylię, do której zawsze wzdycham z upragnieniem tak natrętnem jak zachcenie kobiece.

*Florycel* (zbliża się).

Oby nam szczęście sprzyjało! I tak, Kamillo, udajmy się na wybrzeże.

*Kamillo*

Im większy pośpiech, tem lepiej. (Florycel, Kamillo i Perdyta odchodzą).

*Autolik.*

Rozumiem ten interes, słyszę go. Mieć ucho otwarte, bystry wzrok i zręczną rękę jest rzeczą potrzebną dla rzeźmiesza; dobry nos jest również pożądanym, żeby wywahać zajęcia dla innych zmysłów. Jak widzę, teraz takie czasy, że się nieuczciwym ludziom powodzi. (Ogląda suknie). Jaka to ja zamianę zrobiłem, nie licząc przydatku! (Waży worek). A co to za przydatek, jeszcze z zamianą! Pewno, bogowie tego roku są w zмовie z nami, i możemy sobie wszystko robić bez namysłu. Książę także rozpoczyna rzecz nieuczciwą; wykrada się

od ojca z łańcuchem u pięty. Gdybym nie myślał, że to uczciwa rzecz zawiadomić o tem króla, zrobiłbym tak; myślę, że zataić, to większe łotrstwo, a zatem pozostanę wierny mojemu powołaniu. (Wchodzi Gawel i Pasterz). Usunęmy się; będzie tu jeszcze zajęcie dla czynnego mózgu. Nie ma uliczki, sklepu, kościoła, zjazdu, lub kryminalnej egzekucyi coby nie dostarczyła pracy pilnemu człowiekowi.

*Gawel.*

Widzisz, widzisz, ojcze, jaki to z ciebie teraz człowiek! Nie ma innej rady, tylko wyznać królowi, że to znalezione dziecko nie twojego ciała i krwi.

*Pasterz.*

No, posłuchaj mię tylko.

*Gawel.*

No, posłuchaj mię tylko, ojcze.

*Pasterz.*

No, to mów.

*Gawel.*

Kiedy ona nie jest z twojej krwi i ciała, więc twoja krew i ciało nie obraziły króla, a tak, twoja krew i ciało nie będą przez niego karane. Pokaż te rzeczy coś znalazł przy niej, te tajemnicze rzeczy, wszystko, prócz tego, co ma na sobie. Jak to zrobisz, to niech sobie prawo gwiżdże, słowo daję.

*Pasterz.*

Powiem królowi wszystko co do słowa: tak, opowiem wszystkie bałamuctwa jego syna, który, mogę to powiedzieć, nie postąpił uczciwie względem swojego ojca, ani względem mnie, kiedy o mało co nie zrobił mię szwagrem królewskim.

*Gawel.*

Tak, szwagrem, co najmniej szwagrem jego mogłeś być, a wtedy krew twoja drożej by się przedawała, już nie wiem o ile na jedną uncję.

*Autolik (na stronie).*

Bardzo mądrze! lalki!

*Pasterz.*

Dobrze, idźmy do króla. Jest tu coś w tem zawiniątku, od czego się w brodę podrapie.



*Autolik* (na stronie).

Nie wiem w jaki sposób ta skarga mogłaby przeszkodzić ucieczce mojego dawnego pana.

*Gawel.*

Z serca pragnę żebyśmy go zastali w pałacu.

*Autolik* (na stronie).

Chociaż nie jestem uczciwym z natury, ale czasem mogę być takim przypadkowo. Schowajmy ten kramarski przyrostek. (Chowa przyprawną brodę). Hej! wieśniacy! dokąd to zdążacie?

*Pasterz.*

Do pałacu królewskiego, z przeproszeniem waszjej wielmożności.

*Autolik.*

Macie tam interes? jaki? do kogo? co tam jest w tem zawiniątku? miejsce zamieszkania? imię? wiek? jaki majątek? jakie zajęcie? Wyjawcie wszystko co potrzeba wiedzieć o waszych osobach.

*Gawel.*

Jesteśmy prostymi ludźmi, panie.

*Autolik.*

Kłamstwo! szorstkie i brodate istoty! Niech mi tu nikt nie kłamie, nie przystoi to nikomu, tylko kupeom; i oni często nam żołnierzom zadają kłamstwo, ale my płacimy im za to pieniędzmi pod dobrym stępem, a nie ostrzem stali; z tego powodu, nie zadają nam kłamstwa za darmo.

*Gawel.*

Wasza wielmożność o mało co nam kłamstwa nie zadała, tylko że się dworskim obyczajom wycofała.

*Pasterz.*

Czy pan nie dworzanin, jeżeli łaska?

*Autolik.*

Czy łaska, czy nie łaska. jestem dworzaninem. Czy nie widzisz dworskiej manieri w tych fałdach? A mój krok, czy niema dworskiej miary? A nosem, czy nie chwytasz dworskiego zapachu? Czy nie odbija się na twojej podłości dworska pogarda? Czy z tego co ci napomykam, albo z tego, że wybuduję twój interes, miarkujesz może że nie jestem dworzaninem? Jestem dworzaninem od stóp do głowy, i takim, co może albo



odepchnąć albo posunąć twój interes u dworu. Dlatego, nakazuję ci, żebyś wyjawiał swój interes.

*Pasterz.*

Panie, interes mam do samego króla.

*Autolik.*

A jakiego masz orędownika?

*Pasterz.*

Nie wiem, z przeproszeniem pana.

*Gaweł (cicho do Pasterza).*

Orędownik po dworsku znaczy pewnie bażanta; powiedz, że nie masz.

*Pasterz.*

Nie mam, panie, ani bażanta, ani koguta, ani kury.

*Autolik.*

Jacy my szczęśliwi, że nie jesteśmy takimi prostakami! A jednak natura mogła mię była takim utworzyć. Dla tego, nie chcę nimi pogardzać.

*Gaweł (do Pasterza).*

To musi być chyba znaczny dworzanin.

*Pasterz.*

Ubiór jego bogaty, ale go nie nosi po pańsku.

*Gaweł.*

Tem bardziej zdaje się być wielkim panem, że się zachowuje z fantazyą. Wielki pan, słowo daję; poznaję to po tem jak w zębach dłubie.

*Autolik.*

A to zawiniątko? Co tam w tem zawiniątku? Od czego ta szkatułka?

*Pasterz.*

Panie, tu są takie sekreta w tem zawiniątku i w téj szkatułce, których nikt inny nie powinien znać, tylko król, i dowie się o nich zanim godzina upłynie, bylobym miał dostęp do niego.

*Autolik.*

Stary! stracona praca.

*Pasterz.*

Dla czego, panie?

*Autolik.*

Króla nie ma w pałacu: wsiadł na nowy okręt żeby oderwać się od smutnych myśli i użyć powietrza; bo jeżeli zdolny jesteś pomyśleć o rzeczach poważnych, musisz wiedzieć że król jest pełen smutku.

*Pasterz.*

Tak mówią, panie; a to dla tego, że jego syn chciał się ożenić z córką pasterza.

*Autolik.*

Jeżeli ten pasterz jeszcze nie ujęty, radzę mu żeby uciekał; potępienie jakie na niego spadnie, męczarnie jakie poniesie, zdolne skruszyć grzbiet człowieka i serce potwora.

*Gawel.*

Czy tak myślisz, panie?

*Autolik.*

Nie sam on poniesie co tylko wyobraźnia wymyślić zdoła ciękiego a zemsta gorzkiego, ale i wszyscy jego krewni, choćby o pięćdziesiąt stopni odlegli, dostaną się w ręce kata; wielka to szkoda, ale koniecznie tak potrzeba. Stary, podły owczarz, barani pastuch, żeby też córkę swoją promował na księżnę! Powiadają niektórzy, że będzie ukamionowany, ale ja mówię, że to zbyt lekka śmierć dla niego. Tron nasz zniżył do owczarni! Wszystkich śmierci za mało, a najsroższa jest zbyt lekka.

*Gawel.*

Czy ten stary miał syna? nie słyszałeś pan, jeżeli łaska?

*Autolik.*

Ma syna, a ten będzie odarty ze skóry, potem posmarowany miodem, i posadzony gdzie się osy gnieźdzą. Tam zostanie na trzy ćwierci do śmierci, potem go ocucą wódką albo innym gorącym trunkiem; wreszcie, tak oporzadzonego, w najgorętszym dniu, jaki przypadnie według prognostyków, postawią przy ceglanej ścianie pod południowem okiem słońca, które będzie patrzeć na niego dopóty, dopóki go muchy na śmierć nie zajedzą. Ale co mamy mówić o tych łotrach i zdrajcach, których cierpienia na śmiech ledwie zasługują, do tego stopnia ciężkie są ich przewinienia! Powiedzcie mi (bo zdaje się być pocziwymi prostakami), czego chcecie od króla. Byleby się udać do mnie z przyzwoitemi oznakami szacunku, mogę was doprowadzić do samego króla, choćby na okręt,



przedstawić królowi wasze osoby, szepnąć mu to i owo za wami, jedném słowem, jeżeli, oprócz króla, może się kto jeszcze przyczynić do spełnienia waszjéj prośby, oto macie właśnie przed sobą człowieka, który to zrobi.

*Gawel* (cicho do Pasterza).

Zdaje mi się, że musi mieć wielkie znaczenie. Zbliź się do niego, daj mu złota. Chociaż urząd jest nieugłaskanym niedźwiedziem, jednak często z pomocą złota można go za nos prowadzić. Niech powierzchnia jego dłoni zobaczy wnętrze twojego worka, i więcej się nie kłopotcz. Pamiętaj: ukamionowany i odarty ze skóry!

*Pasterz.*

Jeżeli łaska, panie, za to że się podejmiesz naszjéj sprawy i przemówisz za nami, oto tu jest tyle złota, ile mam z sobą: jeszcze mogę dostać drugie tyle, i zostawię tego młodego człowieka na zakładnika, dopóki panu nie przyniosę.

*Autolik.*

A to wtedy jak zrobię to, com obiecał?

*Pasterz.*

Tak, panie.

*Autolik.*

Dobrze, daj mi tymczasem połowę. (do Gawła). Czy ty należysz do téj sprawy?

*Gawel.*

Do pewnego stopnia, panie; ale chociaż znajduję się w bardzo żalosnem położeniu, jednak mam nadzieję, że mię ze skóry nie obedrą.

*Autolik.*

Ha! to sprawa pasterskiego syna! Niech go powieszają dla przykładu.

*Gawel.*

Pociecha! dobra pociecha! Musimy dojść do króla i pokazać mu te osobliwe rzeczy, które mamy z sobą; trzeba żeby wiedział, że to nie twoja córka, ani moja siostra, inaczej zginęliśmy. Panie, jak już interes będzie skończony, dam panu tyle, ile staruszek daje, a tymczasem zostanę jako zakładnik, dopóki to nie będzie dostarczone.



*Autolik.*

Zawierzę wam. Idźcie tylko naprzód w kierunku wybrzeża, potem obróćcie się na prawo; ja tylko wyjrzę za płot i pójde wnet za wami.

*Pasterz.*

To błogosławieństwo dla nas, żeśmy spotkali tego człowieka, prawdziwe błogosławieństwo!

*Gawel.*

Idźmy naprzód, jak on nam kazał: to on jakby umyślnie zesłany żeby nam pomódz. (Pasterz i Gawel odchodzą).

*Autolik.*

Choćbym miał zamiar być uczciwym, widzę że los tego by nie dopuścił: podaje mi zdobycz do ust. Jestem teraz obdarowany podwójnie pomyślnym wypadkiem: złoto zyskuję, i mam sposobność zjednania sobie względów księcia, mojego dawnego pana, a kto wie jeszcze jak to może posłużyć do dalszego mojego powodzenia. Przyprowadzę tych dwóch kretów, tych ślepych, do jego okrętu. Jeżeli on znajdzie stosownem wysadzić ich znowu na ląd, jeżeli powie, że prośba jaką oni zanoszą do króla nie obchodzi go wcale, to niech mię nazwie łotrem, za to że jestem tak usłużny! Oswoiłem się z tym tytułem i ze wstydem jaki do niego jest przywiązany. Przedstawię ich księciu; może to mieć swoją ważność. (Odchodzi).

## AKT V.

### Scena XII.

Sycylia. Pałac królewski.

Wchodzą: Leontes, Kleomen, Dion, Paulina i dworzanie.

*Kamillo.*

Dosyć, panie, uczyniłeś: spłaciłeś dług świętego smutku, żadnego błędu nie popełniłeś, którego byś nie odkupił, i na prawdę, większa jest pokuta, której dokonałeś, jak twoje przewinienie. Na ostatku, uczyn tak, jak niebiosy uczyniły, zapomnij o tem, co ci dolega; zrób jak one, przebaczone samemu.

*Leontes.*

Póki żyje we mnie wspomnienie téj, którą utraciłem i jęcnót, póty nie zapomnę mojej winy, i muszę ciągle myśleć

o krzywdzie, którą sobie samemu wyrządziłem. Oto królestwo moje zostawiam bez następcy, a sam zgubiłem najmiłą towarzyszkę, o jakiej kiedykolwiek człowiek w nadziejach swoich mógłby zamarzyć.

*Paulina.*

To prawda, aż nadto prawda, miłościwy panie. Choćbyś jedną po drugiej poślubił wszystkie na świecie, i choćbyś od każdej z nich wziął coś dla utworzenia doskonałej kobiety, to i tak, ta którąś zabił, byłaby wyższą nad wszelkie porównanie.

*Leontes.*

Tak myślę. Zabił! Ta, którąm zabił! Tak zrobiłem; ale ty godzisz we mnie okrutnie, mówiąc że tak zrobił: jestto tak gorzki wyrzut w twoich ustach, jak w mojem sumieniu. Teraz więc, bądź dobrą, mów tak tylko zrzadka.

*Kleomen.*

Nie mów wcale, dobra pani; mogłaś być powiedzieć tyśiąc innych rzeczy, któreby lepszą w czasie przyniosły korzyść, i lepiej by zaleciły twoją dobroć.

*Paulina.*

Jesteś jednym z tych, co chcą żeby się powtórnie ożenił.

*Dion.*

Jeżeli tego sobie, pani, nie życzysz, nie masz litości nad krajem, ani pamięci na najdostojniejsze w nim imię; nie zważasz na to, jakie niebezpieczeństwa (przy braku potomstwa jego królewskiej mości) spaść mogą na jego królestwo, i pożreć niepewnych losu swego widzów. Cóż świętszego, jak ufać z pociechą, że zgasła królowa używa szczęścia? Cóż świętszego, jak dla wzmocnienia królestwa, dla obecnej pociechy i przyszłej pomyślności, ubłogostawić znówu łóżnicę jego królewskiej mości miłą towarzyszką?

*Paulina.*

Żadnej nie ma tak godnej, co by się dała porównać z tą, której nie ma. Zresztą, bogowie chcą mieć spełnieniami swoje tajemne zamiary: bo, czyliż boski Apollo nie powiedział, czyliż to nie jest treścią jego wyroczni, że król Leontes nie będzie miał dziedzica, dopóki zgubione dziecko się nie znajdzie? co, żeby się stać mogło, jest tak potwornie dziwnem dla naszego ludzkiego rozumu, jak przypuścić, żeby mój Antygon wyłamał się z trumny i wrócił do mnie; on, co, pewna tego



jestem, zginął razem z dzieckiem. Taka twoja rada, żeby nasz pan sprzeciwiał się niebiosom, żeby walczył przeciwko ich woli. (Do króla). Nie dbaj, panie, o potomstwo; korona znajdzie następcę. Aleksander zostawił swoją najgodniejszemu, i tak, jego następca mógł być miany za najlepszego.

*Leontes.*

Dobra Paulino, co przechowujesz, wiem o tem, w największej czci pamięć Hermiony! O! gdybym się był zawsze stósował do twoich rad! teraz właśnie mógłbym się wpatrywać w oczy mojej królowej, z ust jój czerpać skarby, nagrodę przywiązania.

*Paulina.*

Zbogaciwszy je tem, co by ci udzieliły.

*Leontes.*

Mówisz prawdę, nie ma podobnych kobiet, a zatem, nie chcę żony. Gorszą bym wziął, z którą bym się lepiej obchodził, toby chyba jój duch ubłogosławiony znowu wstąpił w ciało, i na téj tu scenie, gdzie ją obrażamy, okazałby mi się z wyrzutem obrażonej duszy, mówiąc: czemuż to zemną nie tak było?

*Paulina.*

Gdyby miała taką władzę, miałaby też słuszny powód do podobnego przemówienia.

*Leontes.*

Miałaby, i to by mię chyba pobudziło do tego, żeby za-  
bić tę, którą bym poślubił.

*Paulina.*

Takiebym i ja ci, panie, wyrzuty czyniła, gdybym była tym duchem zjawionym; kazałabym ci wpatrzeć się w jój oczy i powiedzieć mi, jakie to pospolite wdzięki pobudziły cię do tego, żeś ją wybrał. Wtedy bym wydała krzyk taki, że twoje nawet uszy boleścią byłyby dotknięte słuchając mię, a wyrazy które bym potem wymówiła, byłyby: pamiętaj o mnie!

*Leontes.*

Gwiazdy! gwiazdy! a wszystkie inne oczy wygaśnię węgle. Nie lękaj się żony; nie będę miał żadnej innéj żony, Paulino.

*Paulina.*

Czy chcesz, panie, poprzysiądz, że się nigdy nie ożenisz, chyba za mojem niewymuszonym pozwoleniem?



*Leontes.*

Nigdy, Paulino! Tak mój duch niech będzie ubłogosławiony!

*Paulina.*

Więc, dobrzy moi panowie, bądźcie świadkami tej jego przysięgi.

*Kleomen.*

Zanadto go pani kusisz.

*Paulina.*

Chyba że inna, tak podobna do Hermiona, jak jój żywy portret, przedstawi się jego oczom.

*Kleomen.*

Dobra pani, przestań.

*Paulina.*

Jednakże, jeżeli jego miłość chce się żenić, jeżeli chcesz panie, — jeżeli nie ma rady, tylko chcesz koniecznie, daj mi polecenie wybrania królowej dla ciebie. Nie będzie tak młoda, jak była tamta, ale będzie taką, że gdyby się zjawił duch twojej pierwszej żony, uradowałby się widząc ją w twoich objęciach.

*Leontes.*

Moja wierna Paulino, nie ożenię się, dopóki mi nie każesz.

*Paulina.*

To wtedy nastąpi, jak twoja pierwsza małżonka znowu oddychać będzie, nie pierwój. (Wchodzi dworzanin).

*Dworzanin.*

Ktoś, co się wydaje za Florycela, syna króla Bohemii, ze swoją małżonką, najpiękniejszą osobą jakąm kiedy widział, pragnie stanąć przed obecnością waszjej królewskiej mości.

*Leontes.*

Co mu się stało? Nie zjawia się odpowiednio do godności swojego ojca. Jego przybycie tak nieprzygotowane i nagłe zapowiada nam, że to nie są odwiedziny zamierzone ale chyba wymuszone potrzebą lub jakim wypadkiem. Jaki orszak?

*Dworzanin.*

Nie liczny i nie świetnego pozoru.

*Leontes.*

I księżna z nim, mówisz?

*Dworzanin.*

Tak, i mojem zdaniem, najbardziej niezrównana postać ziemską, jaką słońce kiedykolwiek oświeciło.

*Paulina.*

O! Hermiono! tak jak każda terazniejsza pora wynosi się nad przeszłość lepszą od niej, tak samo twój grób musi ustąpić temu, co się teraz widzi. (Do dworzanina) Ty sam, mój panie, mówiłeś i pisałeś (ale to coś napisał jest teraz zimniejsze od przedmiotu twoich pochwał), że nie była i nie mogła być nigdy zrównana; tak twoje wiersze wylewały się niegdyś na cześć jej piękności; smutny to odpływ, kiedy teraz mówisz, żeś widział coś lepszego.

*Dworzanin.*

Przebac, pani! o tamtęj prawie zapomniałem był na chwilę, (wybacz mi!), druga, gdy zyska twoje spojrzenie, zyska także ust twoich uznanie. Jestto osoba, co gdyby chciała sektę założyć, mogłaby przytłumić gorliwość wszystkich innych wyznawców, i zwolennikami swymi uczynić tych wszystkich, którymby kazała iść za sobą.

*Paulina.*

Co? kobiety nawet?

*Dworzanin.*

Kobiety kochałyby ją za to, że jako kobieta zda się wszystkich mężczyzn godnością przewyższać, mężczyźni za to, że pomiędzy wszystkimi kobietami wydaje się być rzadkiem zjawiskiem.

*Leontes.*

Idź, Kleomenie. W towarzystwie twoich zacnych kolegów przyprowadź tu oboje, żebym ich powitał i uściśkał serdecznie. (Odechodzi Kleomen z kilkoma dworzanami). Zawsze to jednak dziwnu, że tak się przekrada do nas.

*Paulina.*

Gdyby to nasz książę (klejnot wśród dzieci) doczekał się był tej godziny, dobrzeby przypadł do pary z tym księciem; nie byłoby całego miesiąca różnicy w datach ich urodzenia.

*Leontes.*

Proszę cię, nie mów więcej, przestań. Wiesz, że on na nowo dla mnie umiera, jak się o nim mówi. Pewnie, jak zobaczę tego młodzieńca, twoje słowa doprowadzić mnie mogą do



takich rozpamiętywań, od których można rozum postradać. Oto idą. (Wchodzi Kleomen, Florycel, Perdita i dworzanie). Twoja matka wierna była ślubom, książę, kiedy w tobie wydała na świat żywy portret twojego królewskiego ojca. Gdybym miał lat dwadzieścia kilka, twojego ojca obraz tak odbity jest w tobie, że musiałbym cię nazwać bratem, tak jak jego nazywałem, i przypomnielibym ci dawniejsze nasze pustoty. Najserdeczniej cię pozdrawiam, wraz z twoją piękną księżną, prawdziwą boginią. Och! niestety! straciłem ja dwoje, co między ziemią a niebem tak by stać mogli, wzbudzające podziwienie, jak wy, śliczna paro! a nadto straciłem (wszystko to przez moje szaleństwo) towarzystwo i przyjaźń twojego zacnego ojca, którego, jakkolwiek jestem znękany boleścią, pragnę choć raz jeszcze oglądać, i żądam od życia żeby mi téj łaski nie odmówiło.

*Florycel.*

Panie, z jego to rozkazu wylądowałem do Sycylii, i przynoszę ci od niego wszelkie pozdrowienie, jakie tylko król i przyjaciel może przesłać swojemu bratu; i gdyby słabość, co spracowanemu życiu zagraża, nie nadwątliła nieco pożądaney możności, sam byłby przemierzył lądy i wody, co są między twoim a jego tronem, żeby ciebie, panie, mógł ujrzeć; miłuje cię bowiem (tak mi kazał powiedzieć), bardziej nad wszelkie berła i tych, co je za życia piastują.

*Leontes.*

O! moj bracie! prawdziwie szlachotna duszo! krzywdy jakie ci wyrządziłem odświeżają mój żal; a postępowanie twoje, tak wyjątkowo uprzejme, jest jakby usprawiedliwieniem mojego opóźnienia i zaniedbania. Witam was, jak ziemia wita wiosnę. (Wskazując na Perdite). Czyż to Polixen także wystawił na niebezpieczne a przynajmniej szorstkie straszego Neptuna postępowanie tę wzorową piękność, a to dla powitania człowieka, który nie wart jéj zachodów, a tem mniej żeby narażała swoją osobę.

*Florycel.*

Dobry panie, ona przybywa z Libii.

*Leontes.*

Gdzie panuje wojowniczy Smalus, szlachotny, zacny król, którego lękają się i kochają?



*Florycel.*  
 Najjaśniejszy królu: ztamtąd! Łzy uronione przy pożegnaniu stwierdziły, że jest jego córką. Ztamtąd, z przyjaźnym południowym wiatrem przepłynęliśmy morze, żeby spełnić zlecenie dane mi przez ojca, odwiedzenia waszój królewskiej mości. Znaczniejszą część ludzi w moim orszaku będących od brzegów sycylijskich odprawiłem, i wysłałem ich do Bohemii, dla oznajmienia nie tylko o powodzeniu mojem w Libii, ale i o szczęśliwem przybyciu mojem z małżonką tu, gdzie teraz jesteśmy.

*Leontes.*

Oby błogosławieni bogowie oczyścili z wszelkiej zarazy powietrze nasze, dopóki w tym klimacie przebywacie! Świętego masz ojca, szlachetnego rycerza, przeciwko któremu, bez względu na zacność jego osoby, ciężkiego dopuściłem się przewinienia. Za to nieba, gniewnym wyrokiem, zostawiły mnie bez potomstwa, a twój ojciec, przeciwnie, ubłogosławiony jest (jak na to w obec niebios zasłużył) tobą, godnym zaprawdę przedmiotem jego dobroci. Czemże bym ja był, gdybym mógł mieć teraz syna i córkę, na których bym patrzył, tak pięknych jak wy! (Wchodzi jeden z dworzan).

*Dworzanin.*

Najjaśniejszy panie, to co mam donieść nie zasługiwało by na żadną wiarę, gdyby dowód nie był tak blisko. Z pozwoleniem waszój królewskiej mości, król Bohemii pozdrawia się sam przezemnie, i pragnie żebyś zatrzymał jego syna, który, porzuciwszy zarówno godność i obowiązek, uciekł od ojca, od swoich nadziei, i to jeszcze z córką pasterza.

*Leontes.*

Gdzież jest król Bohemii, mów?

*Dworzanin.*

Tu, w twojej stolicy. Idę właśnie od niego. Mówię bezładnie, i to właśnie odpowiada zarówno mojemu zdziwieniu i mojemu poselstwu. Gdy on z pośpiechem dążył do twego pałacu, (goniąc jak się zdaje za tą piękną parą), spotyka na drodze ojca tój mniemanój pani i jej brata, którzy kraj porzucili razem z młodym księciem.

*Florycel.*

Więc to Kamillo mnie zdradził, Kamillo, którego cześć i uczciwość dotychczas wszystkie burze przetrzymała.

*Dworzanin.*

Możesz go, panie, wprost o to obwinić, bo i on tu jest wraz z królem, ojcem twoim.

*Leontes.*

Kto? Kamillo?

*Dworzanin.*

Kamillo, panie; mówiłem z nim. On teraz bada tych biednych ludzi. Nigdy nie widział nędznych ludzi równie potrwożonych: klękają, całują ziemię, klą się na wszystko za każdym słowem. Król Bohemii zatyka sobie uszy, i grozi im różnemi śmierciami w jednej śmierci.

*Perdyta.*

O! biedny mój ojcze! Niebo szpiegów na nas nastąpiło; nie chce żeby nasz związek był zawarty.

*Leontes.*

Czy jesteście zaślubieni?

*Florycel.*

Nie, panie, i nie zanosi się na to. Gwiazdy, jak widzę, wprzód dadzą pocałunek dolinom, bo to równie zła gra dla wysokich i dla niskich.

*Leontes.*

Mości książę, czy to królewska córka?

*Florycel.*

Będzie taką, skoro będzie moją żoną.

*Leontes.*

To skoro, sądząc po pośpiechu twojego ojca, nadejdzie bardzo nie prędko. Żal mi, bardzo mi żal, żeś zerwał z jego upodobaniem, któregoś się powinien był trzymać z obowiązku, i równie żal mi, że przedmiot twojego wyboru nie jest tak uzacniony urodzeniem jak pięknoscia, żebyś go mógł godnie posiadać.

*Florycel.*

Droga! wznies oczy w górę! Chociażby los, widoczny nasz nieprzyjaciół, wziął się, wraz z ojcem, na nasze prześladowanie nie ma on téj siły, żeby choć na jotę zmniejsić naszą miłość. Błagam cię, panie, wspomnij na czasy,



w których nie więcej lat miałeś, jak ja mam teraz, -- i niech pamięć na twoje własne uczucia skłoni cię być moim obrońcą. Na twoją prośbę, mój ojciec największą łaskę tak łaćno wyświadczy, jak gdyby szło o rzecz najmniejszej ceny.

*Leontes.*

Chciałbym żeby tak było, wyprosiłbym u niego twoją ukochaną, którą on właśnie zbyt mało ceni.

*Paulina.*

Panie mój miłościwy, w twoich oczach za wiele młodoci! Na miesiąc ledwie przed śmiercią twoją królowa bardziej warta była podobnych spojrzeń uwielbienia, jak ta, na którą teraz patrzysz.

*Leontes*

O niej myślałem wśród tych nawet spojrzeń (Do Florycella). Ale na twoją prośbę jeszcze nie odpowiedziałem. Udam się do twojego ojca: skoro twoje uczucia nie przekraczają szranków honoru, jestem ich przyjacielem i twoim. Z tém zadaniem idę teraz na jego spotkanie, a zatem pójdź zanną, i uważaj w jaki sposób do tego się wezmę. Chodź, kochany panie. (Odchodzi).

## AKT V.

### Scena XIII.

W Sycylii, przed pałacem królewskim.

Wchodzi Autolik i Dworzanin.

*Autolik.*

Zaklinam cię, panie, powiedz, czy byłeś obecny przy ich zeznaniu?

*Dworzanin.*

Byłem przy tém, jak otworzono zawiniątko, słyszałem jak stary pasterz opowiadał jakim sposobem je znalazł, a na to, po krótkiej chwili zadziwienia, kazano nam wszystkim odejść z komnaty. To jedno zdawało mi się słyszeć, jak pasterz mówił, że znalazł dziecko,

*Autolik!*

Bardzo bym rad wiedzieć wypadek tego wszystkiego.



*Dworzanin.*

Nieskładny tylko mogę dać opis téj sprawy, ale zmiany jakie dostrzegłem w fizyonomii króla i Kamilla były prawdziwie oznakami wielkiego podziwu. Zdawało się prawie, z takim natężeniem wpatrywali się w siebie, jak gdyby sobie oczycieli wydrzeć. Wymownem było ich oniemiaenie; mowa wyrażała się w ich gestach; patrzyli, jak gdyby usłyszeli o świecie odkupionym lub zniszczonym. Niezaprzeczenie, namiętny podziw wyrażał się w ich postaciach, ale i najmędrszy postrzegacz, nie więcej nie wiedząc, tylko to, co widział, nie mógłby rozstrzygnąć co tu przemaga, radość czy smutek; dosyć, że musiał być nadmiar jednego lub drugiego. (Wchodzi inny dworzanin). Otóż nadechodzi dworzanin, który, szczęściem, więcej wie. Cóż nowego, Rogero?

*Drugi Dworzanin.*

Nic innego, tylko sztuczne ognie. Wyrocznia spełniła się; królewska córka znaleziona. Takie mnóstwo cudownych rzeczy wyjawilo się w jednéj godzinie, że autorowie ballad nie potrafią tego wystawić. (Wchodzi trzeci dworzanin). Ale zbliża się właśnie marszałek dworu pani Pauliny; on nam może więcej powiedzieć. Jak teraz rzeczy stoją, panie? Nowina, o której mówią, że prawdziwa, tak wygląda na jakąś starą powieść, że jéj prawdziwość ulega silnemu powątpiewaniu. Czy rzeczywiście nasz król odszukał dziedziczkę?

*Trzeci Dworzanin.*

Zupełna prawda, o ile tylko prawda może być oczywistą ze zbiegu okoliczności. To, coś usłyszał, gotów byś przysiąc żeś widział, taka jest zgodność w dowodach. Płaszczyk królowej Hermiony, jej naszyjnik na szyi dziecka, znalezione przy niem listy Antygona, w których poznano charakter jego pisma, wspaniałość osoby tak podobnej do matki, cecha szlachetności, którą natura wyjawia w jéj zachowaniu się, i wiele innych dowodów, — wszystko to głosi z zupełną pewnością, że ona jest córką króla. Czy widzieliście spotkanie dwóch królów?

*Drugi dworzanin.*

Nie!

*Trzeci Dworzanin.*

Toście stracili widok, który był godny widzenia, choć trudno o nim mówić. Widzielibyście jak jedna radość drugą

wieńczy w taki sposób, że zdawało się iż smutek płacze rozstając się z nimi, bo ich radość brodziła we łzach. Tam było wzniesienie oczów, wyciąganie rąk, a przytem takie wzburzenie rysów, że można ich było rozpoznać już tylko z odzienia, nie z osób. Nasz król, gotów wyjść z siebie z radości, że córkę znalazł, tak jak gdyby ta radość raptem stała się stratą, zaczął krzyczeć: och! twoja matka! twoja matka! potem prosi króla Bohemii o przebaczenie, potem ściska zięcia, potem znowu ściska swoją córkę, jak gdyby ją chciał udusić! Potem dziękuje staremu pasterzowi, jak zrujnowana burzami arkada, co wiele panowań przetrwała. Nigdy nie słyszałem o podobnym spotkaniu, o którym skaleczone tylko sprawozdanie dałoby się ułożyć, do tego stopnia niweczy ono wszelką możność opisu.

*Drugi Dworzanin.*

Proszę cię, co się stało z Antygonem, który ztąd zabrał dziecko?

*Trzeci Dworzanin.*

To także stara legenda, która by znalazła opowiadaczy wtedy nawet, kiedy by łatwowierność znikła, i żadne by ucho nie nadsluchiwało. Niedźwiedź go rozerwał na sztuki; tak zapewne syn pasterza, który ma za sobą nie tylko widoczną szczerłość, co silnie za nim przemawia, ale nadto przedstawia chustkę jego i pierścień, który Paulina poznała.

*Pierwszy Dworzanin.*

Cóż się stało z jego okrętem i z ludźmi co z nim byli?

*Drugi Dworzanin.*

Rozbił się w téj chwili jak Antygon zginął, i to w oczach pasterza; tak, że wszyscy co służyli za narzędzie do porzucenia dziecka zginęli wtedy właśnie, kiedy dziecko zostało ocalone. Ale jakże szlachetna walka między radością a smutkiem odbyła się w duszy Pauliny. Jednym okiem opłakiwała stratę męża, drugiem radowała się spełnieniu wyroczni. Porwała księżniczkę i tak ją w objęcia swoje ujęła, jak gdyby ją chciała przyszpilić do serca, z obawy żeby jęj znowu nie stracić.

*Pierwszy Dworzanin.*

Szczytność tego widowiska zasługiwała na to, żeby mieć królów za widzów, skoro królowie byli aktorami.



*Trzeci Dworzanin.*

Najpiękniejszym epizodem z tego wszystkiego, co łyzy wyłowił z moich oczów, było to, kiedy przy opowiadaniu o śmierci królowej i jakim sposobem do tego doszło, (co odważnie król wyznał i opłakał), wzrastała coraz bardziej zraniona uwaga córki, aż nakoniec, przechodząc od jednej oznaki smutku do drugiej, z wykrzykiem: niestety! zakrwawiła się, mogę tak powiedzieć, łzami, bo, jestem tego pewny, moje własne serce krwią zapłakało. Kto najbardziej był marmurowym mienił się wtedy na twarzy, niektórzy zemdleli, wszyscy boleśnie wzruszyli się: gdyby świat cały mógł to widzieć, żalność byłaby powszechną.

*Pierwszy Dworzanin.*

Czy wrócili do pałacu?

*Trzeci Dworzanin.*

Nie. Powiedziano księżniczce o posagu jej matki, powierzonym straży Pauliny. To arcydzieło kilka lat było w robocie a teraz świeżo zostało ukończone przez tego znakomitego mistrza, Julio Romano, który gdyby sam posiadał wieczność i mógł wlać technienie w swoje dzieła, uwolniłby naturę od pracy, tak doskonale ją naśladuje. Tak podobną zrobił Hermionę do Hermiony, że, jak mówią, chciałoby się przemówić do niej i zaczekać, w nadziei na odpowiedź. Tam poszli wszyscy z utęsknieniem miłości, i tam zamierzają wieczerzać.

*Drugi Dworzanin.*

Domyślałem się że pani Paulina ma tam ważny interes pod ręką, bo cichaczem, sama jedna, dwa lub trzy razy na dzień, od samej śmierci Hermiony, zwiedzała ten budynek odosobniony. Czy i my tam pójdziemy, i całym gronem naszym przyjmijmy udział w radości?

*Pierwszy Dworzanin.*

Ktożby nie chciał tam być, skoro służy mu dobrodziejstwo dostępu? W każdym oka mgnieniu nowy zrodzi się nam wdzięk; nieobecność źle by świadczyła o naszym rozeznaniu. Idźmy więc. (Dworzanie odchodzą).

*Autolik.*

Gdybym nie miał na sobie plamy poprzedniego życia, zaszczyty spadałyby na moją głowę. To ja przyprowadziłem starego i jego syna na okręt księcia, powiedziałem mu że sły-



szalem jak mówili o jakimś zawiniątku i jeszcze nie wiem o czem; ale on w tym czasie cały zakochany w swojej pasterkiej córce, (za taką ją miał wtedy), która zaczynała doznawać choroby morskiej, a on sam mało co w lepszym był stanie, gdy natężenie niepogody wzmagало się, nie zwracał na to uwagi, i tym sposobem tajemnica nie została odkrytą. Ale to dla mnie wszystko jedno: bo, gdybym ja był odkrył tę tajemnicę, to by nie była dobrze przyjętą, ze względu na inne sztuki, które mi nie zjednały zaufania. (Wechodzi Pasterz i Gawel). Oto nadchodzą ci, którym zrobiłem dobrze wbrew mojej woli, i już, jak widzę, pokazują się w kwitnym stanie ich fortuny.

*Pasterz.*

Cóż, chłopcze, już ja nie będę miał dzieci; ale twoi synowie i córki będą szlachtą z urodzenia.

*Gawel (do Autolika).*

Witam cię, mój panie. Nie chciałeś być się ze mną tamtego dnia, dla tego, że nie byłem rodowitym szlachcicem. Patrz na tę odzież. Co? powiesz, że jej nie widzisz, i będziesz jeszcze utrzymywał, że nie jestem rodowitym szlachcicem? Lepiej byś powiedział, że te suknie nie są rodowito-szlacheckie. Zadajże mi kłamstwo, dalej, i spróbuj teraz, czy nie jestem rodowitym szlachcicem.

*Autolik.*

Wiem, że jesteś teraz, panie, rodowitym szlachcicem.

*Gawel.*

Tak, jestem, i takim byłem każdej chwili od czterech godzin.

*Pasterz.*

J ja także, chłopcze.

*Gawel.*

I ty także, ojcie; ale ja byłem rodowitym szlachcicem wprzód niż mój ojciec: bo, naprzód syn królewski wziął mnie za rękę i nazwał mnie bratem, a dopiero wtedy dwaj królowie nazwali mojego ojca bratem, a wtedy książę, mój brat, i księżniczka, moja siostra, nazwali mojego ojca ojcem; a wtedy zapłakaliśmy, i to były pierwsze szlacheckie łzy, któreśmy uronili.

*Pasterz.*

Pożyjemy, synu, to więcć takich uronimy.

*Gawel.*

Tak, chybabyśmy nie mieli szczęścia w tym niepoślednim stanie, w jakim się znajdujemy.

*Autolik.*

Pokornie błagam cię, panie, żebyś mi darował wszystkie przewinienia, które mogłem popełnić względem waszej miłości, i nie odmówił mi przychylnego wstawienia się za mną do królewicza, pana mojego.

*Pasterz.*

Proszę cię, moj synu, zrób tak; bo musimy postępować szlachetnie, skoro jesteśmy szlachtą.

*Gawel (do Autolika).*

A poprawisz swoje życie?

*Autolik.*

Tak, jeżeli łaska waszej miłości.

*Gawel.*

Podaj mi rękę, a ja przysięgnę księciu, że jesteś dobrym zuchem, z najuczciwszych w Bohemii.

*Pasterz.*

Możesz tak powiedzieć, ale nie przysięgaj.

*Gawel.*

Nie przysięgać, teraz, kiedy jestem szlachcicem? Niech chłopci i mieszczenie poprostu mówią, a ja przysięgnę.

*Pasterz.*

. A cóż, jeżeli to będzie fałsz?

*Gawel.*

Chociażby to był największy fałsz, prawdziwy szlachcic może przysiąc na korzyść swojego przyjaciela. (Do Autolika). Przysięgnę księciu, że jesteś zuchem silnej ręki i że nigdy się nie upijesz, chociaż wiem że nie jesteś zuchem silnej ręki i pewnie upijać się będziesz, ale ja przysięgnę, bo życzę sobie żebyś ty chciał być zuchem silnej ręki.

*Autolik.*

Pokażę się takim, panie, ile to w mojej mocy.

*Gawel.*

Tak, wszelkiemi sposobami pokaż, że jesteś dzielnym zuchem. Jeżeli ja się nie zdziwię, jak ty ośmielisz się być pijanym, nie będąc dzielnym zuchem, to już nie ufaj mi więcej. Słuchajcie; królowie i książęta, nasi krewni, poszli zobaczyć



wizerunek królowej. Pójdź i ty za nami: będziemy dobrymi panami dla ciebie. (Odechodzą).

#### Scena XIV.

Mauzoleum obok pałacu Pauliny.

Wchodzi: Leontes, Polixen, Florycel, Perdita, Kamillo, Paulina, Dygnitarze i Dworzanie.

*Leontes.*

O! szanowna i dobra Paulino! jakże wielka ta pociepcha, którą mam od ciebie!

*Paulina.*

Najpotężniejszy panie, jeżeli czego dobrze nie zrobiła, przynajmniej dobre miałam zamiary. Wszystkie moje usługi wynagrodziłeś, panie, ale to, żeś raczył z ukoronowanym bratem twoim i temi zaręczonemi dziedzicami waszych królestw odwiedzić mój biedny dom, jest nadmiarem łaski, której nie zdołam nigdy odwzięczyć, choćby życie moje najdłużej trwało.

*Leontes.*

O! Paulino! więcej ci sprawiamy kłopotu jak zaszczytu. Ale przyszliśmy widzieć posąg naszej królowej. Przeszliśmy przez twoją galerję, gdzieśmy oglądali z zajęciem wiele osobliwości, ale nie ujrzelśmy tego, co moja córka przyszła oglądać, posagu jej matki.

*Paulina.*

Jak ona, póki żyła, były niezrównana, tak samo jej nieożywione podobieństwo, szczerze temu wierzę, przewyższa wszystką coście dotychczas, panie, widzieli, lub co ręka ludzka zdziałała, dla tego, trzymam to ulubione dzieło zupełnie oddzielnie. Tu jest właśnie. Przygotujcie się widzieć życie tak żywo naśladowane, jak cichy sen śnić naśladowe. Patrzcie, i powiedziecie, czy to dobrze wykonane. (Ściąga firankę i odsłania Hermionę nieruchomą jak posąg). Podoba mi się wasze milczenie, wymownym jest ono dowodem waszego zdziwienia. Ale jednak mówcie. Ty najprzód, najjaśniejszy panie, powiedz, czy nie znajdujesz trochę podobieństwa.

*Leontes.*

To jej naturalna postać! Obwiniaj mię, drogi kamieniu, żebyś mógł zaprawdę powiedzieć, że jesteś Hermioną: albo



raczej jesteś nią przez to samo, że mię nie obwiniasz, bo tak była łagodną jak dziecko jak łaskawość sama. Jednakże, Paulino, Hermiona nie miała żadnych zmarszczek; daleko młodszą była, jak się tu wydaje.

*Polixen.*

O! bezwątpienia.

*Paulina.*

Tem więcéj się przez to uwydatnia doskonałość sztuki rzeźbiarza, który przydał nam szesnaście lat, i uczynił ją taką, jak gdydy teraz żyła.

*Leontes.*

Jaką byłaby gdyby mogła żyć teraz z tem większą moją poćiechą, im bardziej terazniejsza jéj postać rani moją duszę. Och! taką właśnie miała postawę, z takim samem ożywieniem majestatycznym przyjmowała moje hołdy, (ciepłe tam było życie, gdzie teraz chłodny marmur), kiedym jéj się po raz pierwszy oświadczał. Jestem zawstydzony! Czyż ten kamień nie wyrzuca mi, że ja właśnie byłem kamieniem? O! królewskie prawdziwe arcydzieło! jakież to są czary w twojéj wspaniałości, że przywołują mi na pamięć wszystkie moje przewinienia, i odbierają przytomność mojej zdumionéj córce, co wydaje się równie skamieniała jak ty.

*Perdyta* (kleka).

Pozwólcie mi, (nie mówcie że to zabobon), żebym ukłękła i poprosiła ją o błogosławieństwo. Pani! droga królowo! coś skończyła życie, wtedy kiedym ledwie moje zaczynała, podaj mi tę rękę twoją, żebym ją ucałowała.

*Paulina.*

O! cierpliwości. Posag dopiero świeżo ustawiony, farby jeszcze nie wyschły.

*Kamillo.*

Panie, boleść twoja zbyt silne zadała ci cierpienie, którego szesnaście zim nie zwiąło, i szesnaście lat nie wysuszyło: załedwie radość jaka mogłaby trwać tak długo, żadnego smutku nie ma, który by się w krótszym czasie nie strawił.

*Polixen.*

Drogi bracie, pozwól żeby ten, który był powodem tego wszystkiego miał władzę umniejszenia twojego smutku całym udziałem jaki w nim bierze.

*Paulina.*

Doprawdy, panie, gdybym była przewidziała, że widok mojego biednego posagu (bo to moja własność) tak cię wzruszy, nie byłabym ci go pokazywała.

*Leontes.*

Nie zasuwasz firanki.

*Paulina.*

Nie patrz na nią dłużej, bo twoja wyobraźnia mogłaby sobie przedstawić że ona się rusza.

*Leontes.*

Niech tak będzie! Chciałbym być umarłym, gdyby nie to, że już mi się zdaje — Ktoż był ten co to uczynił? (Do Polixena). Patrz, miłościwy panie, czy nie powiedziałbyś że odetchnęła, że w tych żyłach naprawdę krew krąży?

*Polixen.*

Po mistrzowsku zdziałane! Samo życie zdaje się ciepłe na jej ustach.

*Leontes.*

Utkwiony wzrok jej zdaje się mieć ruch w sobie, jak gdybyśmy byli pod wpływem osobliwego złudzenia sztuki.

*Paulina.*

Zasunę firankę. Miłościwy nasz pan już prawie w takim jest zachwyceniu, że gotów zaraz uwierzyć, że to żyje.

*Leontes.*

O! droga Paulino! daj, niech tak myślę przez jakie dwadzieścia lat ciągiem. Żaden zdrowy rozsądek światowy nie może się zrównać z szczęściem podobnego szaleństwa. Zostaw to jak jest.

*Paulina.*

Żałuję, miłościwy panie, że cię tak wzruszyła; mogłabym cię bardziej jeszcze zasmucić.

*Leontes.*

Nie ustawaj, Paulino, bo to zasmucenie taką słodycz ma w sobie, jak najserdeczniejsza pociecha. Tymczasem, wydaje mi się, jak gdyby oddech jakiś od niej dochodził. Jakieżby to wytworne dłuto mogło kiedykolwiek oddech wyrzeźbić? Niech się nikt ze mnie nie naśmiewa, że chcę ją pocałować.



*Paulina.*

Dobry mój panie, wstrzymaj się. Farba na jej ustach jeszcze mokra; zetrzesz ją, jeżeli pocałujesz, i własne usta zawałasz olejną farbą. Czy mam zasunąć firankę?

*Leontes.*

Nie! nie! nie prędjź jak za dwadzieścia lat.

*Perdyta.*

Tak długo mogłabym tu zostać, i ciągle wpatrywać się.

*Paulina.*

Wstrzymajcie się oboje; opuście zaraz tę kaplicę, albo przygotujcie się na większe jeszcze zdumienie. Jeżeli możecie na to patrzeć, zrobię że posąg poruszy się na prawdę, że zejdzie i weźmie cię, panie, za rękę: ale wtedy chyba pomyślicie, przeciwko czemu protestuje, że jestem wspomagana przez złe duchy.

*Leontes.*

O ile sprawisz że się poruszy, rad będę to widzieć; że przemówi, rad będę słyszeć; bo nie trudniej chyba skłonić ją do mówienia, jak do ruchu.

*Paulina.*

Wymaga się, żebyście w sobie wiarę wzbudzili. Teraz wszyscy zostańcie nieruchomi, albo też, kto myśli, że to co rozpoczynam jest nieprawem dziełem, niech odejdzie.

*Leontes.*

Zaczynaj; nikt ztąd nie ruszy.

*Paulina.*

Muzyko, obudź ją, uderz! (Słysząc muzykę) Już czas!.. zejdz!.. nie bądź już kamieniem! zbliż się, wszystkich patrzących napełnij zdumieniem. Chodź, zasypię twój grób! porusz się.. tak! przystąp! Przekaz śmierci twoją martwość, bo od śmierci drugie życie odkupuje cię. (Hermiona zstępuje powoli z piedestału. Paulina mówi dalej do Leonta:) Uważasz, panie? porusza się! Nie cofaj się; moje wywoływanie, jak słyszeliście, było bezgrzeszne; jój czyny będą święte. Nie unikaj jój, aż zobaczysz ją znowu umierającą; inaczej podwójnie byś ją zabił. Tak, podaj jój rękę; jak była młodą, tyś się jój, panie oświadczał; teraz, w późniejszym wieku, ona się sama zaleca.

*Leontes* (ściśka ją).

Och! ciepło życia! Jeżeli to magia, niechże ta sztuka będzie tak niezbędną jak pożywienie!

*Polixen.*

Ona go także ścisła!

*Kamillo.*

Wiesza się na jego szyję! Jeżeli ona do życia należy, niechże przemówi!

*Polixen.*

Tak! i niech objawi w jakim miejscu żyła, lub jak się wykradła od śmierci.

*Paulina.*

Że jest żywą, gdyby to wam było tylko powiedziane, byłoby zapewne wysmiano, jak stara bajka; ale oczywiście jest rzeczą że żyje, chociaż jeszcze nie mówi. Zatrzymajcie się chwilę. (Do Perdity) Racz pośredniczyć, piękna pani; uklęknij i proś matkę o błogosławieństwo. (Do Hermiony). Zwróć się ku nam, dobra pani, nasza Perdita znalazła się. (Perdita kłeka przed Hermioną).

*Hermiona.*

Rogowie, wejrzyjcie na nas z góry, i z waszych świętych naczyń zlejcie wasze łaski na głowę mojej córki! O! powiedz mi, moja własna, jak zostałam ocaloną, gdzie żyłaś, jak odszukałaś dwór twojego ojca? Bo ty usłyszysz, że ja, wiedząc od Pauliny o téj nadziei, jaką co do ciebie pozostawiała nam wyrocznia, zachowałam się sama, żeby doczekać się spełnienia przepowiedni.

*Paulina.*

Będzie na to dosyć czasu, ohybaby żądano, żebyś radość swoją zmąciła tęsknem opowiadaniem. Pójdźcie razem wszyscy, coście tak wiele wygrali; waszą wielką radość udzielcie przyjaciołom. Ja, stara turkawka, zagnieździę się na jakiejś suchłej gałęzi, i tam mojego towarzysza, który już do mnie nie wróci, opłakiwać będę, póki nie umrę.

*Leontes.*

O! uspokój się, Paulino; męża przyjmiesz z mojej ręki, tak, jak ja z twojej żonę otrzymałem. Jestto umowa, którąśmy sobie wzajemnie ślubowali. Znalazłaś mi żonę, ale jak, o to się trzeba jeszcze dopytać, bom ją widział, jak mniemałem,



umarłą, i nie mało modłów odprawilem napróżno nad jój grobem. Nie będę szukał daleko, (bo, co do niego, znam po części jego myśli), żeby znaleźć dla ciebie godnego i szanownego małżonka. Zbliź się Kamillo, i podaj jój rękę, ty, którego zacność świetnym odznaczyła się rozgłosem, a tu poświadczoną jest przez nas, dwóch królów. Opuśćmy to miejsce. (Do Hermiony). Co? patrzysz na mojego brata? Przebaczcie mi oboje, że między wasze niewinne spojrzenia wcisnąłem podejrzenia niegodne. (Wskazując na Florycela). Oto twój zięć, syn królewski, za wskazówką nieba zaręczony z twoją córką. Dobra Paulino, zaprowadź nas do innych komnat, gdziebyśmy mogli swobodnie rozpytywać się nawzajem, i w odpowiedziach skreślić rolę, jaką każdy z nas odegrał w tym obszerzym przedziale czasu, co upłynął od samego naszego rozłączenia. Prosimy, wskaż nam drogę niezwłocznie. (O odchodzą).

DYREKCJA TEATRU KR. SKARBKA  
WE LWOWIE

BIBLIOTEKA TEATRALNA  
Własność Gminy m. Lwowa.

*L. 2015*  
Wysokie Perzydum kr. Namies-  
nictwa pozwoliło restryktem z dnia 3 wrze-  
śnia 1887 L. 9185 na przedstawianie u-  
scenie teatru kr. Skarbka dramatu  
Shakespeare'a a p. t. „Zimowa powieś-  
ć. Winter's Tale”. —

Ok. Dyrekcya Policji.  
Lwów 9 Września 1887.

*Wnaculowicz*



umiemy i nie mało podobie odprawieniu naprzód nad je-  
 grobem. Nie bóg szukał daleko, (bo co do niego, znam go-  
 rzęci jego miłość), żeby znaleźć dla siebie kochanego i szano-  
 wanego matronkę. Npili się Kamille, i bogu jej łaskę, ty. kłó-  
 tego zagnoszę zwyciężym odznaczyla się rozkoszami, a tu powiad-  
 czony jest przez nas, dwóch królów. Opuścił to miejsce. (Do  
 harmonij). Czy patrzysz na mojego brata? Przecież nie  
 oboję. Ze miłości wkradł niewinne spojrzenia wprost przed  
 króla niegodnego. (Wskazując na Florvela). O to lwy nie, syn  
 królewski, za wskazówką nieba zaręczony z twoją córką. Do-  
 bra Paulino, zaprowadź nas do innych kómiat, gdzieś indziej  
 mogli swobodnie rozprawy się uprawiać, i w odpowiednich  
 składowi tole. Jaka kłóda z nas odegrał w tym opasnym prze-  
 dziele czasu co upłynęło od zamyślenia naszego rozłączenia. Pro-  
 szymy. Wszak nam długi niewdzięczność. (Odechodzą).

WYSTAWA  
 BIRLITZ  
 TEATRALNE  
 WYSTAWA  
 BIRLITZ  
 TEATRALNE





## Znaczniejsze poprawki druku.

|      |       |        |    |          |                     |         |                   |
|------|-------|--------|----|----------|---------------------|---------|-------------------|
| Str. | 3     | wiersz | 38 | zamiast: | Salencya            | czytać: | Seleucya          |
| "    | 3     | "      | 39 | "        | leżącego            | "       | leżąca            |
| "    | 4     | "      | 21 | "        | ułatwić             | "       | ułatwiać          |
| "    | 4     | "      | 28 | "        | zbliżyły            | "       | zbliżały          |
| "    | 5     | "      | 17 | "        | daje                | "       | dają              |
| "    | 8     | "      | 27 | "        | zmienić             | "       | zmieniać          |
| "    | 10    | "      | 26 | "        | wydarzeniem         | "       | wydarzeniami      |
| "    | 10    | "      | 26 | "        | odnoszącem          | "       | odnoszącemi       |
| "    | 23    | "      | 10 | "        | odpowiedzieć        | "       | opowiedzieć       |
| "    | 25    | "      | 19 | "        | pani                | "       | panie             |
| "    | 25    | "      | 21 | "        | przedłużnój         | "       | przedłużonej      |
| "    | 28    | "      | 16 | "        | będzie i            | "       | będzie;           |
| "    | 32 31 | "      | "  | "        | str. 32 31 od grzb. | "       | 31 32 (od brzegu) |
| "    | 37    | "      | 14 | "        | świeszcze           | "       | świerszcze        |
| "    | 37    | "      | 22 | "        | a                   | "       | ani               |
| "    | 50    | "      | 33 | "        | nieprawne           | "       | nieprawe          |
| "    | 51    | "      | 32 | "        | .....               | "       | AKT III.          |
| "    | 54    | "      | 4  | "        | popadłem            | "       | popadłam          |
| "    | 55    | "      | 2  | "        | Wydaleś             | "       | Wydalaś           |
| "    | 68    | "      | 8  | "        | Scena XI            | "       | Scena IX          |
| "    | 78    | "      | 8  | "        | Kłusujemy           | "       | Kłusujmy          |
| "    | 102   | "      | 25 | "        | Kamillo             | "       | Kleomen           |
| "    | 110   | "      | 21 | "        | AKT V.              | "       | .....             |
| "    | 112   | "      | 21 | "        | zapewnie            | "       | zapewnia          |

# Ważniejsze podręczniki druk.

|       |           |    |           |    |           |    |           |
|-------|-----------|----|-----------|----|-----------|----|-----------|
| 112   | zawieszka | 21 | zawieszka | 38 | zawieszka | 3  | zawieszka |
| 110   | AKT V     | 21 | AKT V     | 36 | zawieszka | 3  | zawieszka |
| 102   | Kamille   | 25 | Kamille   | 34 | zawieszka | 4  | zawieszka |
| 78    | Kamille   | 25 | Kamille   | 32 | zawieszka | 4  | zawieszka |
| 68    | Scena XI  | 25 | Scena XI  | 30 | zawieszka | 5  | zawieszka |
| 55    | Wybór     | 25 | Wybór     | 28 | zawieszka | 5  | zawieszka |
| 51    | Wybór     | 25 | Wybór     | 26 | zawieszka | 6  | zawieszka |
| 50    | Wybór     | 25 | Wybór     | 24 | zawieszka | 6  | zawieszka |
| 37    | Wybór     | 25 | Wybór     | 22 | zawieszka | 7  | zawieszka |
| 27    | Wybór     | 25 | Wybór     | 20 | zawieszka | 7  | zawieszka |
| 32 31 | Wybór     | 25 | Wybór     | 18 | zawieszka | 8  | zawieszka |
| 22    | Wybór     | 25 | Wybór     | 16 | zawieszka | 8  | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 14 | zawieszka | 9  | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 12 | zawieszka | 9  | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 10 | zawieszka | 10 | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 8  | zawieszka | 10 | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 6  | zawieszka | 11 | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 4  | zawieszka | 11 | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 2  | zawieszka | 12 | zawieszka |
| 21    | Wybór     | 25 | Wybór     | 0  | zawieszka | 12 | zawieszka |





**BIBLIOTEKA TEATRALNA**

Własność Gminy m. Lwowa.





Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000225214



II 541052

